

DAJĘ SŁOWO

www.czasopismodajeslowo.pl

NR 7 | LIPIEC-WRZESIEŃ 2024

Wiersze:

Uczłowieczenie

Małgorzata Poręba

Rozmowa Nie-Mistrza
ze Śmiercią

Aleksandra Kmiecik-Goleń

RECENZJA

Wychowanie czy natura?

Recenzja książki Johna Douglasa

Jak powstaje morderca – Izabela Durma

Opowiadania:

Rosół

Justyna Mędrek

Olcha z Wilczej Doliny, cz. 7

Agata Kasiak, powieść we fragmentach



SAMOWYDAWCY.pl

ADRES REDAKCJI

ul. Sportowa 2/4,
55-011 Siechnice
tel. 696 071 318

redakcja.dajeslowo@gmail.com

REDAKTOR NACZELNY

Mateusz Rogalski

ZASTĘPCZYNI**REDAKTORA NACZELNEGO**

Monika Litwinow

ZESPÓŁ

Janusz Muzyczyszyn

REDAKCJA I KOREKTA

Janusz Muzyczyszyn

Jagoda Biskont

Ewa Hoffmann-Skibińska

Alicja Szalska-Radomska

Anna Michalik-Czarnecka

Andżelika Gręda

SKŁAD I ŁAMANIE

Mateusz Cichosz

PROJEKT OKŁADKI

D.B. Forys

Dołącz do Patronów



PATRONITE

PRENUMERATA www.czasopismodajeslowo.pl

SPIS SŁÓW

SŁOWA NUMERU

- 9 **Rosół** – Justyna Mędrek
- 22 **Uczłowieczenie** – Małgorzata Poręba
- 27 **Olcha z Wilczej Doliny cz.7** – Agata Kasiak, powieść we fragmentach
- 59 **Rozmowa Nie-Mistrza ze Śmiercią** – Aleksandra Kmieciak Goleń

SŁOWO OSOBISTE

- 7 **Daję Słowo w świecie zagadek** – M. Litwinow i M. Rogalski

DOSŁOWNIE (recenzje)

- 57 **Wychowanie czy natura? Recenzja książki Johna Douglasa**
Jak powstaje morderca – Izabela Durma

WIERSTY (wiersze/drabble)

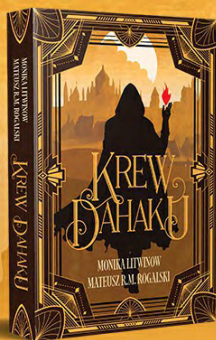
- 25 **W odpowiedzi na list pożegnalny** – Aleksandra Kmieciak Goleń
- 56 **Rozmowa** – Anna Przybył

Witajcie, drodzy Czytelnicy!

„Nawet nie wiecie, jak miło mi Was witać po tak długiej przerwie”. Początkowo w taki właśnie sposób chciałem rozpocząć nasze przywitanie, ale już po chwili zreflektowałem się, że ta przerwa nie była w żaden sposób dłuższa od tych poprzednich. Ot, kolejny kwartał za nami, trzeci w tym roku. Zatem dlaczego wydawało mi się, że akurat te trzy miesiące stanowiły znacznie dłuższą przerwę niż poprzednie. Przecież był to okres wakacji, a te z reguły z powodu radośnie spędzanego czasu mijają szybciej, weselej, ale i na swój sposób spokojniej. Może właśnie o ten spokój chodzi. Chyba to jest to, czego brakowało całej redakcji jak i naszym autorom. Wszak my nie odpoczywaliśmy od Was. Wręcz przeciwnie.

Właśnie dlatego motywem przewodnim na ten powakacyjny numer ma być *świat zagadek*. Temat ten nie pozwolił zaznać spokoju osobom dla nas piszącym, nie da również spokoju Wam, kiedy będziecie przeżywać przygody, jakie tu przedstawimy.

Oczywiście nasi pisarze nie byliby sobą, gdyby poszli na łatwiznę. Znając temat przewodni, zapewne spodziewacie się w tym numerze zbrodni, kryminałów i thrillerów. No cóż, te też tu znajdziecie, ale w większości przypadków prezentowane u nas zagadki będą się



KREW DAHAKU

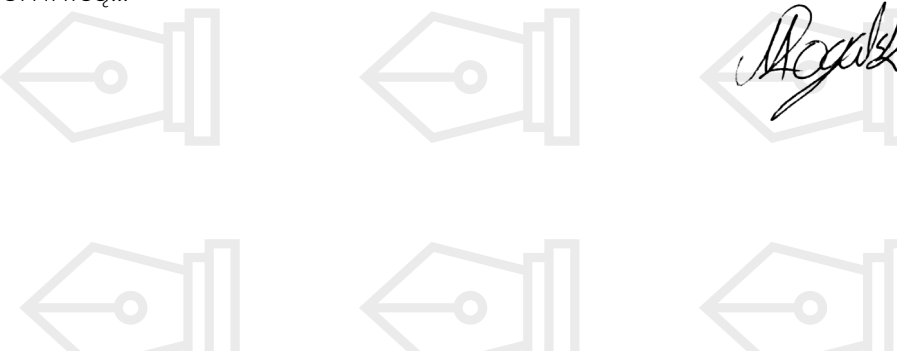


Dostępne na www.samowydawcy.pl

zawęzwały do znacznie krótszej formy. Co zapewne spotęguje ich różnorodną interpretację i niejednoznaczność w samodzielnym rozwikłaniu. Ciekawe czy przypadną Wam one do gustu.

„Po tak długiej przerwie” wypada przypomnieć Wam, nasi drodzy czytelnicy o naszym Patronite. Bardzo liczymy na Waszą hojność, która pozwoli nam rozwinąć skrzydła i stać się dla Was jeszcze lepszym czasopismem. Bardziej niezależnym z bardziej profesjonalną oprawą. Na zachętę dodam, że od tego kwartału zwiększamy częstotliwość udostępnianych tam materiałów, jak i ruszamy z kilkoma nowymi projektami.

A jakimi? Cóż, niechaj jeszcze przez chwilę zostanie to naszą tajemnicą...



Bożek

Prabucki Litwinow



wydaje mi się

PODCAST



SAMOWYDAWCY.pl

NABÓR DO NUMERÓW W 2024 ROKU

Czasopismo „Daję Słowo” potrzebuje Waszych tekstów!

Otwieramy nabór na rok 2024 – tematami przewodnimi będą:

👉 nr 4 – „W podróży do gwiazd”, termin: 30 września

Publikacja tekstów w „Daję Słowo” to doskonała reklama dla początkujących i doświadczonych autorów oraz okazja do nawiązania nowych kontaktów 😊

Czego szukamy?

- ✍ Recenzji utworów o danej tematyce – tekstów do 6000 zzs,
- ✍ Felietonów – do 4000 zzs,
- ✍ Drabli – 100 słów,
- ✍ Relacji z targów i wydarzeń okołoliterackich – do 4000 zzs,
- ✍ Poezji – bez limitów,
- ✍ Opowiadań – do 20 000 zzs,
- ✍ Wywiadów – do 13 000 zzs oraz nagranie z transkrypcją,
- ✍ Komiksów – forma dowolna, do 3 stron,
- ✍ bajek, bajeczek, wierszy i innych form dla dzieci 😊

Dla ułatwienia pracy redaktora i składacza prosimy o formatowanie tekstów: czcionka Calibri, wielkość liter: 12, przerwy w tekście oddzielamy trzema gwiazdkami, nie robimy wcięć w tekście tabulatorem, dialogi zapisujemy od półpauzy (CTRL i – z klawiatury numerycznej), zdań nie dzielimy w połowie ENTERem, wielokropek zapisujemy jednym znakiem (prawy ALT i kropka).

Pod tekstem prosimy o bio autora do 200 zzs i zdjęcie w dobrej rozdzielczości. Teksty nie powinny być wcześniej nigdzie publikowane i powinny nawiązywać do tematu przewodniego danego numeru.

Gotowe pliki opisujemy: „Nazwisko_imię(autora)_tytuł_tekstu”, np. „Rogalski_Mateusz_Zamki_i_Roboty”.

Zdjęcia wysyłamy w pliku tekstowym i jako osobny plik jpg z podpisem „Nazwisko_Imię”, np. „Rogalski_Mateusz”.

Teksty prosimy wysłać na adres mailowy redakcji:

redakcja.dajeslowo@gmail.com.

Zapraszamy do współpracy!!

Daję Słowo w świecie zagadek

Monika Litwinow

Mateusz Rogalski

ML: Wybór tego tematu dla kolejnej odsłony „Daję Słowo” nie był trudny. Myślę nawet, że chwilę się powstrzymywaliśmy, by nie wyskoczyć z nim zbyt szybko. Zagadki to oczywiste skojarzenie z kryminałami, a nie można im odmówić wielkiej popularności.

MR: Wśród Samowydawców żartujemy, że kryminały same się sprzedają, gdyż jest to najpopularniejszy rodzaj literatury beletrystycznej w Polsce. Jednak i w tym gatunku widać niesamowity rozwój. Widząc nowe zapotrzebowanie, coraz większa liczba doświadczonych autorów powieści kryminalnych pisze historie wypełnione zagadkami dla najmłodszych, tj. Aneta Jadowska, Max Czornyj czy Jo Nesbø.

ML: Dzieci i młodzież uwielbiają opowieści naszpikowane tajemnicami. Nie brakuje więc książek, w których to właśnie oni wchodzi w rolę młodych detektywów. Książki takie publikowane są w długich seriach, niemal jak powieści Agathy Christie czy Katarzyny Puzyńskiej. Ciekawą alternatywą zro-

dzoną na kanwie rozwiązywania zagadek są książki paragrafowe.

MR: Czyli opowieści, w których czytelnik decyduje, jaką następną akcję podejmie bohater. Stało się to na tyle interesujące, że powstają wersje dla czytelników w każdym wieku. Od formy książkowej już nieduży skok do detektywistycznych gier planszowych, escape roomów i kryminalnych gier miejskich, a tych przybywa jak trupów w kryminałach Mieczysława Gorzki. Samych wydawnictw dedykowanych tej literaturze jest na polskim rynku kilkadziesiąt.

ML: Aż się prosi o poszukiwanie uzasadnienia odpowiedzi na pytanie, z czego to wynika? Portal prawo.pl w jednym z artykułów zrelacjonował debatę uniwersytecką pt. „Sherlock Holmes na tropie, czyli dlaczego kochamy kryminały” zorganizowaną przez Uniwersytet Warszawski. Według pani profesor Moniki Całkiewicz lektura powieści kryminalnej pozwala nam rozładować nagromadzoną agresję. Mnie,

wielbicielkę i czytelniczkę, ten argument zaskoczył.

MR: Sam byłem tym zdziwiony. Do tej pory uważałem, że po tego typu literaturę sięgają wielbiciele dreszczyku, lęku i wszyscy ci, którzy lubią, kiedy historia silnie na nich oddziałuje. Potwierdzeniem tego może być różnorodność kryminałów z ich wewnątrzgatunkowym podziałem, np. klasyczne, historyczne, psychologiczne, drastyczne, lokalne, a i rodzajów typologii gatunku jest co niemiara. Mało tego, kryminał nie tylko rozwija się sam w sobie, ale wyciąga też swe mordercze łapki w kierunku innych gatunków literackich.

ML: Jest w czym wybierać. Czytelnicy poszukują na przykład kryminałów sensacyjnych, romantycznych, medycz-

nych, przygodowych, dla dzieci, opartych na prawdziwych wydarzeniach i tym, którym my sami możemy się pochwalić, czyli kryminałem fantasy.

MR: Ale nie pora się jeszcze chwalić i my nie o tym. Nie nakierowaliśmy naszych autorów wprost na kryminały, gdyż to by było zbyt sztampowe. Chcieliśmy, aby skupili się na zagadce. Czymś, co by wymusiło zarówno na pisarzu jak i czytelniku pewien wysiłek intelektualny. Doprowadziło do swego rodzaju rywalizacji pomiędzy nimi o to, kto stworzy lepszą zagadkę, a kto da radę rozwiązać ją przed czasem.

ML: I jest w czym się zaczytywać. Po raz siódmy dziękujemy za nadesłane teksty. Z przyjemnością się nimi z Wami dzielimy.



Mateusz R.M. Rogalski – prawie podróżnik, prawie pisarz, autor powieści fantasy z cyklu *Obrońcy Ahury* i bajki *Zamki i roboty*.



Monika Litwinow – kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści kryminalnych *Za lasami* i *W gaju*.

Justyna Mędrek

18.02.2023

– Ja ci mówię, Halinko, ona to hobi celowo. Ce-lo-wo. Myśmy się tyle lat przyjaźniły, a jak się postarzała, to specjalnie tak na złość, no, żeby ino uprzykrzyć życie. Jak za mąż wychodziła, to ja jestem pewna, że celowo sobie takiego chłopca znalazła. Ty pamiętasz, jak miał na imię? HYSZAHD. No to na złość mi zhobiła, żebym miała kłopot, bo z tą moją wadą wymowy, to sama wiesz, jak jest. A ta mi na złość, no, od lat już. Kota sobie przygarnęła, jak owdowiała, no, żeby sama nie musiała siedzieć, tak mówiła, to wiesz, jak go nazwała? OHEO. No, tak jak te ciastka. I jeszcze jednego wzięła do kompletu, bo niby tak lepiej dla kota, a ten się z kolei nazywa PHECEL. I Jagoda niby mi mówiła, że nie, że one tak już się w fundacji nazywały, ale ja tam swoje wiem! A potem co? Pewno z kotami to tak smutno i jej się jednak do ludzi przykrzyło, albo nie wiem, może, żeby z opłatami było lżej, to się do niej niedawno przeniosła ta dziwna baba z Wahszawy. Ty ją poznałaś w ogóle? I wiesz, jak ona ma na imię? HADOMIHA. Ja wiem, taka niby moda na te słowiańskie imiona, ale to przecież jest kobita w naszym wieku, to ją matka z ojcem pokrzywdzili takim imieniem, no daję słowo, niby nie jej wina, ale czy Jagoda sobie nie mogła zamieszkać z jakąś Magdą albo Iloną? Ja nie wiem, Halinko, bo my to się z Jagodą przyjaźnimy tyle lat, no całe życie właściwie, a ona tak celowo, na złość tak, żebym już o nic zapytać nie mogła, bo ta moja wada wymowy, no sama wiesz. A ona sobie na pewno ze mnie podśmiejchujki urządza! Tyle lat przyjaźni! No, i jeszcze ten jej, ten jej, ten... HOSÓŁ!

14.02.2023

Poranna szarówka nie nastrajała optymistycznie. Gdyby nie uliczne lampy, które nadawały żółtawego pobłysku zimowej, brudnej od błota okolicy, byłoby zupełnie ciemno. Jagoda westchnęła cicho. Zastanawiała się, czy to już starość, skoro zaczyna kompletnie bez sensu budzić się o piątej czy szóstej rano. W dodatku śniły jej się jakieś dziwne rzeczy, z których pamiętała tylko niejasno jakiś kawałek lasu i pianie koguta.

Do budzika miała jeszcze dobrą godzinę. Biblioteka wydziałowa co prawda powinna dziś być otwarta od dziewiątej, ale Jagoda uznała, że jeśli raz powierzy otworzenie skarbnicy wiedzy studentom-praktykantom, to świat się nie skończy. Przynajmniej dobrze zacznie walentynkowy poranek, oczywiście nie licząc nieplanowanej pobudki przed świtem.

Ostrożnie, żeby nie obudzić śpiącej obok Radusi, wyplątała się spod grubej kołdry i wsunęła puchate kapcie na stopy. Dom był nieco wychłodzony, ale jak na luty pogoda była dość łaskawa. Mimo to Jaga wolałaby śnieg i trzaskający mróz zamiast tej depresyjnej, przymarzniętej po wierzchu błotnistej ciapy, którą codziennie przemierzała w drodze do pracy i z powrotem.

Ziewając i trąc szczypiące oczy, Jagoda podreptała schodami w dół, gdzie natychmiast zaczął plątać jej się pod nogami Precel,

Chcesz wydać własną książkę,
ale czujesz, że to czarna magia?

STUDIO ALE BUK!

pomoże Ci:

- ✓ z redakcją
- ✓ z korektą
- ✓ ze składem
- ✓ z okładką
- ✓ z ebookiem

Napisz do mnie na Instagramie:

Z kodem **DAJESLOWO5** rabat 5%

TO MOŻE
BYĆ
TWOJA
KSIĄŻKA

@magik.od.skladu.ksiazek

czarny wielki kocur z jednym okiem i poszarpanymi uszami. Rozejrzała się za Oreo, adopcyjnym bratem Precła, ale ten zapewne spał gdzieś w najlepsze, dopasowawszy swoje łaciate, kocie ciało do aktualnie zajmowanej przestrzeni.

Otworzyła puszkę z kocim jedzeniem i nałożyła śniadaniowe porcje swoim pupilom. Oreo zmaterializował się przy lodówce natychmiast po tym, jak rozległo się pyknięcie otwieranej puszk i teraz głośnym miauczeniem poganiał Jagę, która próbowała położyć talerzyki w przeciwnych kątach jadalni i przy okazji nie potknąć się o jednego z futrzastych świrów.

– Oreo, błagam cię, obudzisz Radusię i całą niespodziankę szlag trafi! – burknęła, podstawiając łaciatemu futrzakowi jedzenie pod nos. Odwróciła się, żeby zanieść talerzyk Precłowi, ale ku jej zdumieniu czarny kocur nie czekał przy swojej stałej miejscówce na jedzenie. Zamiast tego, cały zjeżony i spięty, wpatrywał się w kocie drzwiczki, które prowadziły na zewnątrz, do małej woliery zbudowanej specjalnie dla kotów.

– Precel?

Kocur nie zwrócił na nią uwagi, za to zaczął buczeć ostrzegawczo. Jaga podeszła do okna i zerknęła na zewnątrz, ale nie zauważyła niczego niepokojącego.

– Precel, nie wydurniaj się i wcinaj, bo Oreo ci zeżre śniadanie.

Zaczęła krzątać się po kuchni i szykować walentynkowe śniadanie dla swojej partnerki. Początkowo miała obawy, jak miejscowa społeczność zareaguje na to, że ona zamieszka z kobietą, ale okazało się, że jedni po prostu to zaakceptowali bez mrugnięcia okiem, a inni założyli, że Radusia to jej współlokatorka, bo przecież łatwiej utrzymać dom, kiedy łożą na niego dwie osoby.

Zanim zabrała się do mycia, szypułkowania i krojenia truskawek kupionych za kosmiczną kwotę w warszawskim supermarkecie, zdjęła ślubną obrączkę – pamiątkę po Ryśku – i pierścionek zaręczynowy od Radusi i odłożyła je na spodeczek. Zerknęła jeszcze na

Precla, który uparcie siedział przy drzwiach, po czym zabrała się za robienie *crêpes*.

Romantyczne śniadanie podane do łóżka rozespanej, uroczo uśmiechniętej Radusi przerwał dzwonek telefonu. Jaga ostentacyjnie go zignorowała, ale ktokolwiek próbował się do niej dodzwonić, ewidentnie postanowił nie odpuszczać.

– Oj, no, odbierz w końcu – powiedziała Radusia, między kęsem cieniutkiego francuskiego naleśnika a łykiem bezalkoholowego pro-secco. – Pewnie praktykanci zapomnieli hasła do tego waszego systemu i teraz mają kolejkę pod biblioteką.

– Ty chyba w życiu nie spotkałaś studenta – zaśmiała się Jaga. – To znaczy, nie twierdzę, że nie zapominają haseł, chodzi mi o to, że ostatnio w bibliotece był tłok, jak poszła fama, że na Dzień Bibliotekarza przyniosłam cukierki i domowe ciasto. Teraz właściwie wszystko mają w internecie, do biblioteki mało kto zagląda.

Radusia przewróciła oczami.

– I co, teraz zaczniesz mówić, że „ta dzisiejsza młodzież” i „teraz to nie ma czasów”?

– Jeszcze aż tak się nie zestarzałam, gówniario! – burknęła Jaga, udając święcie oburzoną.

– Jestem od ciebie młodsza o dwa miesiące, staruszko, a teraz odbierz w końcu ten telefon, bo mnie uszy bolą od tego dzwonienia.

Jagoda niechętnie wstała z łóżka i zgarnęła komórkę z parapetu. Ku jej zdumieniu, na wyświetlaczu nie widniał wcale numer uczelni ani żadnego z praktykantów.

– Jadźka...?

– NO W KOŃCU, ile można dzwonić?! Co ty, zaspiałaś?! – ryknęła Jadwiga, prawie ogłuszając Jagodę, która przypadkowo wcisnęła opcję rozmowy na głośniku.

– Nie, mam dziś być późn...

– Ja ci mówię, Jaga, ten koleś to jest jakiś złodziej, on się tu tak pałęta, ja ci mówiłam, to nic dobrego z tego nie będzie, a już chyba z tydzień się tu płacze i łazi, i nie wiadomo, czego on tu chce i po co przyjechał! I wiesz co? Zginęła mi moja pamiątkowa zawieszka po babuni! Ta z szafiem! A Halince to pewnie on podwędził ten łańcuszek złoty, co od męża na święta dostała, chociaż ona to się zarzeka, że pewnie jej gdzieś się przy sprzątaniu zapodział, ale ja tam swoje wiem! I jeszcze Mietka żona, ta nowa znaczy, nie ta, co go zostawiła dla tego księgowego z Poznania, tylko ta nowa, jak jej tam, Milena? Chyba Milena. To ją spotkałam w niedzielę koło południa, i ona mi mówiła, że jej poginęło coś z biżuterii. Ja ci mówię, Jagódko, to ten menel co się tak tutaj zadowowił, to na pew...

– Jadźka! – Jagoda przerwała koleżance. Była przyzwyczajona do tych monologów, a mimo trudnego charakteru, skłonności do pochopnych osądów i zamiłowania do plotek, Jadwiga była naprawdę dobrą kobietą, która chętnie pomagała innym. Ale za nic nie można było pozwolić jej się nakręcać, bo wtedy mogła gadać bez końca i przeskakiwała z jednego tematu do kolejnego, aż w końcu człowiek zapominał, o co właściwie chodziło na początku. – Jadźka, powoli. Jaki facet? Jaki menel?

– Ten taki szpakowaty co przesiaduje pod emdekiem! No chyba z tydzień tam się pałęta jak nie dłużej. Codziennie tam chodzisz przecież!

28-29.09.2024

**II FESTIWAL
KSIĄŻEK
w PŁOCKU**



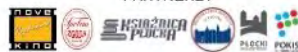
Honorary Patronat
Prezydenta Miasta Płocka
Andrzeja Nowakowskiego



PanDA książkę!



PARTNERZY



SPONSORZY



PATRONAT MEDIALNY



Słowa koleżanki sprawiły, że Jagoda skojarzyła, o kim mowa. Gdy teraz się nad tym zastanowiła, musiała przyznać, że nieznajomy miał raczej znoszone ubrania, ale wyglądał schludnie, zawsze witał ją uśmiechem i skinieniem głowy, no i przede wszystkim nie cuchnęło od niego alkoholem. Nie przyszłoby jej do głowy nazwać go menelem.

– Jadzieńko kochana, ale jaki to menel? Widziałaś go kiedyś pijanego? Może do kogoś przyjechał albo, nie wiem, wprowadził się tutaj niedawno?

Ze słuchawki dobiegło prychnięcie. Jagoda czekała na odpowiedź, zerkając na partnerkę, która kończyła już jeść śniadanie. Uśmiechnęła się, gdy zauważyła, że Radusia na nosie ma kropkę z bitej śmietany. Już miała podejść i cmoknąć ukochaną w upačkany nosek, kiedy dotarło do niej, że Jadwiga coś mówi.

– ...i nie było żadnego domu ani mieszkania do sprzedania, ani do wynajmu. To co on tu niby kombinuje, a?! No i te rzeczy co wszystkim dookoła giną!

– Ja nie wiem, Jadzieńko. Nie wydaje mi się, żeby to ten człowiek. Dobrze mu z oczu patrzy. – Usłyszała, jak jej rozmówczyni nabiera głośno powietrza, bez wątpienia szykując się do kolejnego monologu, więc dodała szybko: – Słuchaj, kochana, ja muszę się zbierać do pracy. Zobaczymy się jutro i obgadamy, dobrze? Napisz mi tylko, która godzina ci odpowiada. Pa!

Rozłączyła się i znów przeniosła wzrok na Radusię, która chichotała w poduszkę. Jagoda pokręciła głową z politowaniem.

– Ty się tak nie śmieij, bo jak nas w końcu zalegalizują, to poproszę Jadżkę na świadkową! Przegada każdego urzędnika.

Radusia ewidentnie chciała coś odpowiedzieć, ale zaczęła śmiać się tak gwałtownie, że aż dostała czkawki. Jaga również się roześmiała i zaczęła się ogarniać do pracy. Ubrana i umalowana zeszła na dół, zerknęła niechętnie na stertę naczyń pozostałą po porannym gotowaniu i rozglądając się jeszcze za kotami, sięgnęła po obrączkę

i pierścioneł, które rano zostawiła na spodeczku. Jej palce trafiły na zimną porcelanę. Spodek był pusty.

Po przeszukaniu całej kuchni i wywróceniu połowy jadalni do góry nogami, Jaga uznała, że może jednak Jadwiga miała rację. Może nie tyle w kwestii tego, kto powinien być głównym podejrzanym, ale zdecydowanie coś było na rzeczy. Pożegnała się ze zmartwioną Radusią, obiecującą solennie, że jeszcze poszuka zaginionej biżuterii, jak tylko odkopie się z maili w pracy, i wyszła z domu, gdzie pierwsze co zobaczyła, to odstająca siatka w górnym rogu woliery. Wróciła do drzwi, poinformowała Radusię, że blokuje kocie drzwiczki, bo wolie-
ra będzie do naprawy, po czym z ciężkim westchnieniem podeszła obejrzeć uszkodzenia. Zszywki, którymi stalową siatkę przymoco-
wano do drewnianego stelaża, były w jednym miejscu powyrywa-
ne, a siatka odgięta na zewnątrz woliery. Na prętach zostało trochę
drobnego pierza, a na białej od szronu, zmarzniętej ziemi pyszniło
się długie, wąskie czerwone pióro.

– Bogowie... Precel, łajzo kosmata – burknęła, podnosząc pióro. Pięknie opalizowało nawet w taki pochmurny poranek. Bez więk-
szego zastanowienia wsuwając je do kieszeni płaszcza i postanowi-
ła w wolnej chwili sprawdzić, jaki ptak ucierpiał od precłowych pa-
zurów. Nie podejrzewała Oreo, ten kot był najbardziej leniwą istotą,
jaką znała. No, może nie licząc studentów od trzeciego roku wzwyż.
Zniknięcie biżuterii dało jej do myślenia: może faktycznie coś dziw-
nego działo się w okolicy? Jadźka wymieniła kilka osób, którym coś
zginęło, ale może było ich więcej... Przypomniała sobie, że Marianna,
zwana przez wszystkich w okolicy „babcią Malinką”, staruszka miesz-
kająca pod lasem, narzekała, że zginęło jej parę drobiazgów, ale na
propozycję pomocy ze strony Jagody i Radusi machnęła tylko ręką
i stwierdziła, że pewnie samo się znajdzie.

Może do panny Marple jej daleko, ale uznała, że przyjrzy się tej całej zagadkowej sprawie, bo nie wyobrażała sobie, żeby jej ukochana biżuteria i rzeczy sąsiadów tak po prostu wyparowały. Musiało istnieć jakieś proste, sensowne wyjaśnienie. Minęła dom sąsiadów i przy Miejskim Domu Kultury skręciła w prawo, w stronę stacji.

– Dzień dobry! – Usłyszała, ale, zamyślona, dopiero po dłuższej chwili i kilkunastu krokach zorientowała się, że wypadaloby jakoś zareagować. Odwróciła się na pięcie i niemrawo machnęła dłonią do mężczyzny, którego Jadwiga nazwała menelem.

– Dobry – powiedziała, ale jakoś nie udało się jej uśmiechnąć.

– Wszystko w porządku? – zapytał mężczyzna, patrząc na Jagodę uważnie. – Nie wygląda pani na szczególnie zadowoloną. Ja wiem, że to już drugi poniedziałek w tym tygodniu, ale zawsze chyba może być gorzej?

Jaga zerknęła na ekran telefonu. Mimo że wyjście nieco się opóźniło, miała jeszcze trochę czasu do przyjazdu pociągu.

– A wie pan, w sumie to zawsze może być gorzej. Ale zginęło mi coś, co ma dla mnie dużą wartość sentymentalną i próbuję wymyślić, gdzie mogło się podziać.

– Pewnie się znajdzie, jak nie będzie potrzebne – powiedział filozoficznie mężczyzna, kiwając głową. – Zbyszek jestem.

Wyciągnął do niej rękę, a Jaga uściśnęła ją niepewnie i również się przedstawiła.

– Mieszka pan gdzieś w okolicy?

– I tak, i nie. Nie jestem stąd, mieszkam we wsi obok, w Oborkach. Macie tu w MDK-u parę darmowych kursów, to sobie przyjeżdżam i się uczę fajnych rzeczy. Zbiera pani pióra?

Wskazał na torebkę, która zjechała Jagodzie na przedramię. Opa-lizujące pióro wystawało na zewnątrz, lekko kołysząc się przy każdym jej ruchu.

– Znalazłam je na podwórku. Może jakimś cudem pan wie, jakiego to ptaka? – Wyjęła pióro i podała Zbyszkowi.

– Co prawda jestem biologiem, ale ptaki mnie raczej mało interesowały. No i poszedłem w nauczanie, to już w ogóle się człowiek uwstecznia, w kółko tylko to samo i to samo... Ale jakbym miał zgadywać, to może jakiś kogut? Tylko jakieś dziwne to pióro, jakby farbowane...? Jak panią bardzo ciekawi, to mamy w Oborkach takiego weterynarza, Straszek się nazywa, równy chłop. I chyba na wszystkim się zna, pasjonat taki, że smoka by mu przyprowadzić, to też by wyleczył, hehe – zaśmiał się krótko. – A w ogóle to wczoraj się kręcił tu taki kogut, wielki a chudy, taki wypłosz trochę, no... jakby go do pralki na wirowanie włączyć i wypuścić, tak mi się jakoś skojarzyło z tym piórem.

W głowie Jagody zaczęło kiełkować niejasne podejrzenie, ale było na tyle nieprawdopodobne, że początkowo je od siebie odsunęła.

– Straszek? Gawel Straszek? – dopytała, ale myślami była już gdzieś indziej. Zbyszek kiwnął głową. – Wspaniale. Dziękuję panu!

Odwróciła się na pięcie, wyjęła z kieszeni telefon i maszerując z powrotem w stronę domu, zadzwoniła na uczelnię z informacją, że nie dotrze dzisiaj do pracy.

15.02.2023

Jagoda dyskretnie rozglądała się po podwórku, kiedy Halinka oprowadzała ją i chwaliła się planami wiosennej rewolucji, jaką planowała urządzić tego roku w ogrodzie. Z jednej strony ciekawiło ją, co sąsiadka zrobi z niechlujnym do tej pory skrawkiem ziemi, z drugiej zaś był to idealny pretekst, żeby odwiedzić Halinkę i rozejrzeć się po jednym z miejsc, z których zagadkowo zniknęła biżuteria. Oczywiście o planach ogródkowych dowiedziała się od Jadwigi, do której wpadła poprzedniego wieczora, również po to, żeby się nieco rozejrzeć i wypytać o szczegóły zniknięcia zawieszki z szafirem. Wyszła z głową pełną plotek, ale bez informacji dotyczących sprawy.

– A tutaj, między oknami, to chciałam huśtawkę, ale w sumie stary mówi, że lepiej tam o, pod drzewami, przynajmniej będzie trochę cienia, przyjemniej będzie siedzieć – opowiadała Halinka, a Jaga przytakiwała i wyrażała odpowiedni zachwyt nad każdym pomysłem. Nagle kątem oka zobaczyła coś, co przykuło jej uwagę.

– Zaraz cię dogonię, coś mi wpadło do buta – powiedziała i przykucnęła, by dyskretnie podnieść i wsunąć do torby długie, opalizujące pióro.

Trzej Maszkaronowie gratis

przy zakupie Uniwersum Powiernika
od F.M. Piątkowskiego.



SAMOWYDAWCY.pl

Radusia postawiła na biurku dwie filiżanki z parującą kawą. Jagoda podziękowała i zaznaczyła kolejną pinezkę na internetowej mapie okolicy. Po konsultacji z Jadźką miała wiedzę na temat tego co komu zginęło.

– Cholernik chyba kradnie losowo, nie widzę tu żadnego sensownego wzoru. No i pytanie: dla kogo kradnie i czy w ogóle dla kogoś. W zasadzie nie mamy w stu procentach wiarygodnych źródeł, więc kto go tam wie? – Sfrustrowana zamknęła laptopa. – Raduniu, poświęcisz jakąś biżuterię na eksperyment i próbę złapania złodzieja?

Radusia uśmiechnęła się i wyjęła z kieszeni džinsów złoty łańcuszek z serduszkami. Podała go zaskoczonej Jagodzie.

– Tak myślałam, że będziesz chciała spróbować.

16.02.2023

Kolejnego popołudnia, kiedy tylko Precel zerwał się z posłania i cały się zjeżył, Jagoda wiedziała, że nadszedł czas działania. Zagoniła kota do salonu i zamknęła za nim drzwi, a sama przyczaiła się przy kocich drzwiczkach. Czekala dobre pół godziny. Na zewnątrz zrobiło się już niemal ciemno, i już miała uznać swój pomysł za niedorzeczny i nie-trafiony, kiedy kocie drzwiczki lekko się poruszyły. Zamarła i ścisnęła w dłoni rączkę podbieraka. Klapka poruszyła się znowu i Jaga z satysfakcją zobaczyła, jak przez drzwiczki wsuwa się wielki koguci łeb. Wstrzymała oddech. Niestety, ptaszycło okazało się czujne, pewnie po poprzednim starciu z Preclem. Rozejrzało się na boki i skrzeknęło, zobaczywszy uzbrojoną w podbierak kobietę, po czym błyskawicznie wycofało się na zewnątrz.

Jaga nie dała sobie czasu na zastanowienie, otworzyła drzwi i wybiegła na zewnątrz, gdzie zdążyła tylko zobaczyć, jak koguci kuper

oddala się w stronę pobliskiego lasu. Zatrzasnęła drzwi domu i pognała za ptaszydłem, ponieważświe orientując się, że kapcie to niezbyt dobre obuwie do pościgu za złodziejem. Nie chciała jednak zgubić tropu, więc biegła dalej, ślizgając się nieco na zmarzniętym bloku. Ptaszysko biegło dalej, ni to pogdakując, ni to poskrzekując, aż w końcu dotarło do asfaltówki łączącej Oborki z Maciejowicami.

Zdążyła tylko pomyśleć, że długo już nie da rady biec, gdy nagle błysnęły światła samochodu wyłaniającego się zza zakrętu. Nagle oślepią, zasłoniła oczy ręką. Usłyszała pisk opon, skrzek i głuchoe stuknięcie, po czym wszystko na chwilę ucichło.

– No to chyba będzie rosołowe – rozległ się znajomy głos.

– Powiem ci, Jaguś, że po raz pierwszy przyjmuję na wizytę kłobuka.

– Nie wydajesz się szczególnie zdziwiony, że masz w lecznicy stworz z dawnych wierzeń – mruknęła Jagoda, zezując na Zbyszka, który, jak się okazało, zabrał się w drogę do domu z Gawłem. Ten jednak trzymał dystans, choć widziała, że aż się trzęsie, żeby obejrzeć leżące obecnie na stole w prowizorycznym domowym gabinecie ptaszydło.

– Bo, prawdę mówiąc, to nie pierwszy kłobuk, jakiego widziałem. Ale pierwszy jednocześnie żywy i z takiej odległości. – Złapał mocniej szamoczącego się i gdaczącego z oburzeniem stworz, po czym bezceremonialnie wpakował go do dużego transportera. – Twarda bestia, jeśli nie okaże się, że ma jakieś obrażenia wewnętrzne, to powinno być w porządku. Nie ma złamań, widocznie tylko go trochę zamroczyło, jak go stuknęliśmy. Możesz z nim przyjść na wizytę i udawać, że to zwykły kogut. Leczenie gratis, bo w końcu to ja go potrafiłem.

Wręczył Jagodzie transporter i uśmiechnął się rozbrajająco.

– I co ja mam z nim zrobić?!

– Noo... przecież to twój zwierzak? Tak za nim gnałaś przez to błocko, że prawie kapcie pogubiłaś.

– Ja tylko próbowałam odzyskać swoją biżuterię – próbowała bronić się Jaga, ale trochę żal jej było paskudnego kuraka. – W domu go mam trzymać? Precel go zeżre z kopytami.

– Przecież on nie ma kopyt – wtrącił niepewnie Zbyszek.

Jagoda westchnęła ciężko. Wyglądało na to, że niechcący dorobiła się nowego zwierzątka.

– No cóż. W takim razie będzie się nazywał Rosół. Żeby pamiętać, na co go przerobię, jak mu się znów zachce kraść.

19.02.2023

– ...a ten facet, to jakiś tam niby nauczyciel i tutaj na jakieś szkolenia jeździ. No i potem ona mi mówi, że zobaczyła, jak przez uchylone okno wylatuje shoka. I się przyjrzała, i ponoć ta paskudnica do gniazda wszystko zносиła. A w telewizji mówili, że shoki wcale nie kradną i to tylko taka bujda, a tu proszę, Julitko, takie rzeczy. Nawet razem z gniazdem wszystko przyniosła, widziałas sama nawet, kto by to pomyślał, ponoć spadło, jak weszła na drzewo, zobaczyć co tam jest. W jej wieku po drzewach łązić, no ja nie wiem. A i jeszcze tam podobno koguta znalazła jakiegoś potłuczonego nieco, wypłosz taki, pewnie komuś uciekł. Ale ten wetehynarz wiejski go badał i niby nic mu nie jest. Ale żeby go tak nazwać, tego koguta znaczy, to już przesadziła, to na złość mi tak. Myślałby kto: Hosół...



Justyna Mędrek – z wykształcenia filolożka (ukończyła anglistykę i fenistykę), poza pracą pochłania książki i kawę. Aktywnie udziela się w kocie fundacji, fotografuje i nieśmiało przelewa swoje dziwne pomysły i sny na papier.

Uczłowieczenie

Małgorzata Poręba

Mruczek dla Ani był całym światem.
 Dbała o niego wręcz z namaszczeniem.
 Wszystko zmieniło się, kiedy latem
 gdzieś przeczytała to ogłoszenie:
 „Twój zwierzak znaczy dla ciebie wiele?
 Chcesz, by się człekiem stał do połowy
 i mógł prawdziwym być przyjacielem?
 Daj mu więc wszczepić czipa do głowy!”.
 Mruczek jak człowiek w ramach płatności?
 Mógłby z nią mówić? Słuchać muzyki?
 Ania wyjęła swe oszczędności
 i pojechała z nim do kliniki.
 Akcja wszczepienia trwała godzinę.
 Mruczek miał teraz się uczłowieczać.
 Ania otarła mu z pyszczka ślinę,
 niosąc w kocyku. Niech się uleczą.
 Kiedy nareszcie uniósł powieki
 i w jego oczy swoje utkwiała,
 aż jej na twarzy wyszły wypieki,
 radość w niepokój się zamieniła.
 Mruczek miał ślepia ludzkie, świadome.
 Patrzył się na nią z zaciekawieniem.
 Ania uznała przez krótki moment,

że się w nich kryje znieprawienie.
Prędko w miseczce chrupki mu dała,
kot jednak warknął na nią powoli.
Długo minęło, nim zrozumiała:
talerz z obiadem go zadowoli!
Kiedy już pojadł z pełną kulturą,
kiełki wyszczerzył, nawet zamruczał!
Ani ulżyło. Prysnał zły urok.
Teraz czas kotka życia nauczać!
Chociaż nie mówił, chłonał jej wiedzę
i wciąż zachwycił ją postępami.
Podczas wieczornych, wspólnych posiedzeń
słuchał jej żali, tulił łapkami.
Ania nie miała nigdy tak jeszcze,
by ktoś był dla niej taki wspaniały!
Cóż tam, że czasem przeszły ją dreszcze,
gdy nocą ślepią ją przesywały...

RKS Janusz Muzyczyszyn



Redakcja
Korekta
Skład

<https://muzyczyszyn.pl>

Raz jej się zdało, że Mruczek gada!
Czy właśnie mówił do jej smartfona?
Gdy do pokoju wpadła dość błada,
ucho przykładła, lecz... do ogona.
Nocy następnej coś się zdarzyło.
Nagle ujrzała prócz ślepi Mruczka
jeszcze sześć innych. Ktoś z dużą siłą
walnął ją w czoło obuchem tłuczka.
Ból ją obudził i groza szczerą.
W głowie się tliła myśl o ucieczce.
Mruczek jej ślinę z ust właśnie ścierał.
„Jedz” – rzekł, podając chrupki w miseczce.
Z każdą sekundą Ani świadomość,
ssana przez czipa, szła w zapomnienie.
Jak kot to zrobił? Cóż, nie wiadomo.
Ponoć przeczytał gdzieś ogłoszenie.



Małgorzata Poręba – ukończyła studia pisarskie na UŚ. Prowadzi stronę internetową z blogiem, prozą i poezją – pisarzowiczka.pl – oraz poetyckie konto na Instagramie: [@wierszykowniaa](https://www.instagram.com/wierszykowniaa). Aktualnie pracuje w SEO.

W odpowiedzi na list pożegnalny

Aleksandra Kmiecik-Goleń

Dobrze Ci w tym piekle?
Dobrze Ci, Kochanie?
Czy twój ciepły, jasny dotyk
Czy tylko płkanie
Czy uwiędłe chryzantemy na Twym zimnym grobie
Czy jedynie mi wspomnienie zostanie po tobie?

Dobrze Ci w tym piekle?
Dobrze postąpiłaś?
Że nie Boskiej, ale własnej woli dopełniłaś?
Mówią wszyscy: „Skoro daje, On także zabiera”
Lecz nie wiedzą, że zło nie śpi
Zło samo wybiera

Dobrze Ci w tym piekle?
Dobrze Ci nareszcie?
Z tym, że całą swą udrękę zostawiłaś reszcie?



**Możesz w nią nie wierzyć,
ale nie uda Ci się przed nią uciec!**

PRZEPOWIEDNIA

Kontynuacja powieści okrzykniętej książką ADHD



Przygoda czeka

Tym, co tu zostali, modlą się i płaczą
Wiedząc, że już nigdy Ciebie nie zobaczą

Dobrze Ci w tym piekle?

Dobrze tak się stało?

Że mnie z gorzkim tym cierpieniem zostawiłaś samą?

I jedynie tamten list

Z marnym pożegnaniem

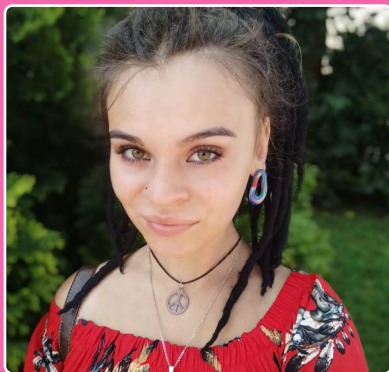
By swe życie podsumować jednym, krótkim zdaniem:

„Muszę odejść, nie myśl.”

Jednak myślę wściekle:

Zostań już, Kochana

Zostań już w tym piekle...



Aleksandra Kmiecik-Goleń – Dziewiętnastoletnia pisarka – amatorka. Pisanie daje jej poczucie wolności oraz kontroli nad życiem i emocjami, a najlepszą jego częścią jest dzielenie się twórczością z innymi.

Olcha z Wilczej Doliny

Rozdział VII Świątynne dziecko

Agata Kasiak

Zima przedłużała się. Zaraz po księżycowej pełni niebo znów zaszło granatem i jednej nocy dosypało śniegu tak, że przez osadę chodziło się wydrążonymi w zaspach tunelami. Domostwa rozproszone w dolinie, opuszczone na zimę, ledwo odznaczały się w białej krainie wystającymi nieco ponad śnieg dachami. Ale najgorsze było zasypianie pól u podnóży wałów – warstwa lodowej połaci była tak gruba, że podchodzące pod osadę wilki zaczynały już przeskakiwać niską teraz palisadę i skrobać się po wale. Rzucano w nie pikami i kilka raniono. Jednak obawa przed kolejną zamięcią i narastającą u podnóży grodzenia zaspą budziła coraz większy lęk. Zwłaszcza, że wilki były wygłodniałe i zdesperowane.

Kiedy ostatniej pełni u bramy stanęła Olcha z wilkarami i objętym klątwą chłopakiem, w osadzie zawrzało. Zmęczenie zimą nie pomagało i plotki o utopcu powróciły. Radzim uspokajał gawiedź, ale wywożony co pełnię intruz mierzył coraz większą rzeszę znecierpliwionych zimą wieśniaków.

– Dąbek, co na bramie stał o świcie – szemrano – mówił, że wiedźma, jako i ci dwaj jej ulubieńcy, byli nadzy i wodą ociekali. Sini niczym ten zaklęty. Niechybnie z jeziora wracali. Nie dziwne to? Co na jeziorze o księżycowej pełni łążęgowali? A może wszyscy oni z utopkami tańcowali? I z nimi trzymają? Wiadomo to, czy z tego jakie nieszczęście nie przyjdzie na osadę?

– Na zło się ma, ślepy by zoczył. Wilki wygłodniałe pod wały podchodzą. Zima nie ustaje, coraz to srożeje.

– A jeśli to od morza na północy? – podrzucił ktoś wreszcie. – Od tego, co zamarznąć ma i uwolnić bestie?

– Bogowie, miejcie nas w swojej opiece.

I wtedy padła straszliwa wieść – wiedźma zachorowała, może i wiosny nie doczekać.

W izbie jednego z długich domów osady Wilko pilnował paleniska. Było ciepło i okadzone, a zapach ziół do licznych inhalacji Olchy nie opuszczał pomieszczenia. Na wspólnym, szerokim posłaniu wiedźma oddychała ciężko. Jej czoło rosił pot, a policzki gorąły niezdrowo. Telepała się w dreszczach, to znów odsłaniała futrzaste skóry, łaknąc ochłody. Na posłaniu leżał martwo również utopiec, obok zaś pochłonięty podobną gorączką wilkarski rycerz.

Wilko jako jedyny nie rozchorował się po tamtej przygodzie na jeziorze o okrągłym księżycu. Najpierw rozkaszała się Olcha, szybko pogrążając w potach, niedługo później położyło Diorisa.

Teraz walenie do drzwi wystraszyło wilkarskiego chłopaka. Bez pani czuł się ów w osadzie obcy jak dzikie, zaszczute zwierzę. Zresztą wiedział, że wieśniacy tylko czekali na dostęp do zakłętego chłopaka, który jakże przywodził im na myśl utopki, o których zrobiło się głośno po zabójstwie Brzóski.

Chłopak rzucił przerażone spojrzenie ku nieprzytomnemu od gorączki Diorisowi i zawładniętej chorobliwym snem wiedźmie. Wstał, okrył Sol, by ten jak najmniej rzucał się w oczy. Z duszą na ramieniu podszedł ku wrotom.

– Kto tam? – spytał, a jego głos zadrżał.

– Ja, Krzesąd. Otwórz, dziecko, nie obawiaj się. – Łagodny głos uspokoił Wilka w jednej chwili.

Chłopak w wielkiej uldze, wręcz zachłannie wciągnął starca do środka. Starannie zasunął za nim skobel w drzwiach. Wyglądał biednie, jak dziecko zostawione przez rodziców.

– Olszynka zachorowała, słyszałem – podjął Krzesąd, a młody skinął w rozpaczy. – Nic się nie bój, dziecko. – Starzec ucisnął ramię Wilka krzepiąco. W oczach miał dobroć i spokój. Był jak ostoja dla dzikiego chłopaka. – No, pokażże, czym leczysz panią?

Wilko wnet wziął się do roboty, okazał staruszkowi wszystko, co tylko wymyślił dla ratowania wiedzy, co znał z jej pobieżnych nauk. Krzesąd pochwalił, poszperał za ziołami, doradził, pomógł przygotować i podać chorym, co jeszcze mu przyszło do głowy. Obiecał też zostać na noc, doglądać potrzebujących. Siadł; dał Wilkowi poczucie bezpieczeństwa.

– Pani szukała ratunku dla tego chłopaka – pożalił się Wilko. – Pragniemy zdjąć zeń straszliwą klątwę.

– Wiem, Olszynka głowiła się do mnie o tym. Próżnom sam myślał nad waszym utopkiem niejedną bezsenną noc. Jedyne, com pomiarkował, jest o jego imieniu: Sol. Jużem mówił Olszyncy, że to tankryckie imię. Znaczy: słońce. Ale tankrytu, języka przeznaczonego dawno temu bogom, nikt nie używa od wieków. Mnie na myśl przychodzi tylko jedno miejsce, gdzie nadawano dzieciom imiona w tym języku.

– Jakie miejsce?

– Brama Gór. Stara świątynia, dziś porośnięta knieją. Na północ od Łyśca, na równinie u stóp masywów.

– Byłeś tam, panie?

– Nie. Tylkom słyszał. Tego miejsca pewnie bym zresztą nie znalazł.

– Ale to... jak Sol trafił w nasze jezioro? No i kiedy?!



SERIA KRYMINALNA

*Baśniowe i słowiańskie wątki
porywają do głuszy
wielkopolskich lasów*

www.monikalitwinow.pl

– Hmm. Zapewne przed wiekami. Mówi się w okolicy Łyśca, że dawno temu, w czasach króla Wilkomira...

– Tego od Boginki.

– Taaa. Dawnego władcy tych gór.

– Mówi się co? – Wilko łaknął starych opowieści, jak mało kiedy.

– Mówi się, że to Wilkomir najechał świątynię w Bramie Gór i wywiozł wszystkie dzieci. I nikt później nie miał odwagi zapuścić się w tamtą okolicę.

– Dlaczego nie?

– Bo miejsce nawiedzała straszliwa mara, żądna krwi. A drzewa świątynne... miały ludzkie oczy.

Zakończył z tajemniczym zawieszeniem głosu. Zastłuchany Wilko milczał chwilę dla lepszego zrozumienia. Jednak mało z tego mieściło mu się w głowie.

– Yyy – chłopak ocknął się – to by się jednakowoż zgadzało, to o porwaniu. Bo Dioris majaki miał o Sol i jego siostrze! Że ją porwali wilkarzy, jego zaś chcieli dać bestiom na pożarcie. Czy tak jakoś...

Krzesąd pokiwał głową z wolna, dumał.

– To jezioro kryje jakieś straszne, wiekowe tajemnice! – stwierdził Wilko.

– Taaa. Wody pochłonęły coś.

Obaj wbili spojrzenia w nieprzytomnego utopca.

– Myślicie, panie – Wilko zniżył głos – że to nasz utopiec zabił późnym latem tego...

– Brzóskę? Niewykluczone. Jednakowoż bliższym jest myśli o tym, że Brzóskę zgładziła jedna z utopcowych panien.

– Może siostra tego?

– Może.

– Jedna z tych, co tańczą o północy nad jeziorem i budują zamki? – Wilko mimowolnie ożywił się, jak dziecko na wyobrażenie czegoś tak baśniowego.

– Taaak, te same. – Krzesąd chętnie przystał na ulubione bajanie. – I nie zamki, chłopcze, a zawsze jeden i ten samiuteńki. Ten z ich podwodnego świata.

– To one naprawdę mają swój podwodny świat?

– Jakżeby miały nie mieć? Toż utopki istnieją w tym jeziorze, od-
kąd nawet najstarsi nie pamiętają. Mnożą się w podwodnym świecie,
jako i my. Wielem razy widział przy księżycowym świetle ich brze-
mienne, zaokrąglone brzuszki!

– Nie może być...!

– A jednak. Prawda to najprawdziwsza, chłopcze. Nie kłamałbym
ci ja. Przysięgam, że widział, jak utopkowe panny tańczyły z moją
córcią o pełni księżycowej. I były brzemienne.

Wilko zmarszczył brwi baczniej, stracił dziecięcą radość słuchania
opowieści.

– Hejże, panie – skoczył przytomnie – czy wasza córka... Bieława
jej jest, tak? Czy pani Bieława często tak zachodzi się nad jezioro?
Do utopkowych panien? Może ona zna lepiej je...?!

– Yyy. – Dziadek rozkaszał się niemiłosiernie, niby to przypad-
kiem. – Co rzeczesz? Ech, czekajże, chłopcze, muszę na powietrze...
Zasiedziałem się nadto! No takie to dziwy, takie dziwy... – Zbierał się
ku wyjściu, rączy, jak mało kiedy. – Ale mnie chyrla od tego dymu. No,
bywaj, wrócim do gawędy jeszcze. Bywaj, chłopcze, bywaj.

Tak Wilko został bez słowa, zadumany.

Nocą wody jeziora oddawały ciepło dnia. Wciąż były lodowate, ale
nie w porównaniu z mrozem świata na brzegu. Śnieg odznaczał się
jasnością na tle czerni nieba, jednak lód skuwał taflę tylko przy lądzie,
z wolna puszczał w głębi jeziora. Między przybrzeżnymi szuwarami
snuła się dziwna mara. Wśród badyli wyblakłego zimowego sitowia
mieniła się raz jakby wilkiem, to znów innym razem kobietą. Ni to
potargane włosy, ni to sieć kryły złowrogie oblicze. Krokoma na śniegu
towarzyszyło starcze sapanie, choć silny zapach istoty, przywodzący
na myśl samicę, zaskoczył wilkara witalnością – nie mógł należeć do

staruszki. Wilko postąpił za nią, ciekaw tej woni. I wtedy, wśród szumu pożółkłych szuwarów obejrzała się nań. Złe ślepie miały w sobie szyderczy śmiech, zęby wrogość. Wilkarka obnażyła je.

– *Moje dziecko...* – szept dobyty z ust maryl wdarł się w ciszę nocy i uderzył z całą mocą w przerażonego chłopaka.

Wilko odwrócił się gwałtownie, dysząc jak po całonocnej ucieczce. Poznał, o kim śnił.

– Bieclawa... Pani Bieclawa. – Długo trwało, nim otrząsnął się. Potarł twarz i oczy, odetchnął.

Niepotrzebnie tyle rozmyślał o tej kobiecie, stwierdził. A potem wrócił smacznie w sen, tym razem bez koszmarów.

Tymczasem zbliżała się kolejna pełnia. Wilko co noc wychodził na wały i oglądał księżyc. Zima nie ustępowała, choć ptaki śpiewały już od świtu po zmierzchu, a dni stawały się coraz dłuższymi. Śniegi wciąż jednak zalegały w dolinie, wprawdzie topniejąc z wierzchu przy słonecznych południach, ale nie ustępując wiele więcej. Cieszono się, że chociaż już nie dosypywało. I tylko wszyscy wyglądali cieplejszych powiewów wiatru zwiastujących halny, z nim zaś odwilży, którą zwykle ten przynosił.

Zmartwiony Wilko wrócił do izby, w wieczór poprzedzający noc pełni. Było już wiadome, że nikomu nie uda się zabrać Sol z osady na czas jego wilkołactwa. Olcha nieco wydobrzała, podobnie jak Dioris, ale oboje byli jeszcze potwornie słabi i żadne nie nadawało się na zimową wyprawę. Wilko chciał udać się do jaskiń z Sol w pojedynkę, jak niegdyś uczynił to Dioris, jednak ubłagali go, by został.

– Dziękuję, żeś posłuchał – rzekł tego wieczora ostatni raz do chłopaczyny wilkarski rycerz. – Poradzę sobie z Sol. Jest mi druhem tak, jak ty.

Wilko skinął, złapał równie pewne spojrzenie staruszki z jej bujaczka. Uśmiechnął się. Przerzucił wzrok na Sol. Bał się tej pełni, ale jednocześnie całym sobą czuł, że jest bezpiecznie, i że Sol nie stanowił jakiegokolwiek zagrożenia.

Humor poprawił się Wilkowi na temat ekwipunku rycerza, który ten z nudów przeglądał, czyścił. Młody wilkar wnet zaciekał się mieczami, które to lubomijski śledczy miał dwa. A co jeden, to większy i ku zdumieniu chłopaka – cięższy!

Ręka drżała Wilkowi, gdy usiłował unieść jeden z nich. Aż Dioris i Olcha zaśmiali się na to w głos, acz dobroduszenie. Mina młodzika była z tych bezcennych, a jego zdumienie nie do opisania.

– Jak ty tym dajesz radę... cokolwiek? – Wilko ledwo mówił, gdy tymczasem rycerz odebrał odeń miecz z taką lekkością i wprawą, jakby broń nic nie ważyła!

Olcha zaśmiewała się już wówczas tak, że jej kolebadełko omal nie fiknęło w tył, nakrywając staruszkę jej własnymi nogami.

Wiele mieli uciechy tego wieczora z diorisowych mieczy.

– Ten mam od pasowania – opowiadał im rycerz, unosząc jedno z ostrzy. – Zwie się Mściwój. Takiem zresztą miał imię w dzieciństwie, po ojcu i po dziadku, pewnie i po innych przodkach.

– A... to nie masz na imię Dioris? – Słuchający przyjaciele znów się zdumieli.

Wtedy rycerz uśmiechnął się nieco gorzko.

– W życiu byłem mieszkańcem wielu królestw i dworów – podjął. – Mam też dwa imiona, z których to obecnę wolę ze względu na dziewczynę, która je wybrała.

– Księżniczkę Wolin?! – Wilko ożywił się wraz.

– Zgadłeś. – Dioris zaśmiał się. – Młokosem byłem, kiedym poznał ją u Mehmeda, starego sułtana. Dobry to człowiek i nie traktował mnie jak jeńca. Księżniczka była oddana mu w zastaw przez jej ojca, Czci-rada, za pomoc w wojnie obronnej przeciw królowi Lubonii. A i Wolin była Mehmedowi raczej jak córka. Wybrała mi imię Dioris, stare, nadalijskie. I jego odtąd używam. Przypomina mi ją. Znaczy: wilk.

– Oho ho! Zatem żeś Mściwój z urodzenia, Wilk z nadania – podsumował Wilko. – Jako i ja. Bękart z urodzenia, Wilko z nadania.

Dioris westchnął. Uśmiechnął się do chłopaka krzepiąco.

– I mnie imię dała moja pani – orzekł Wilko z dumą. – I chętnie je noszę.

– To ważne.

– No. Czyli innych imion już nie masz? – spytał Wilko.

– Nie – odparł rycerz. – Alem bywał tu i tam, jak powsinoga niemal. Jestem wprawdzie czarnym wilkiem czystej, duszanieckiej krwi i pochodzę z Duszańca. Alem był w niewoli i u Nadalijczyków, i u lubomijskiego króla. Byłem wolnym i jeńcem. Byłem więźniem, to znów przyjacielem, wrogiem, to znów szpiegiem. Znam obu sułtanów nadalijskich, Mehmeda i Sulejmana. Znam lubomijskiego króla Strzedziwoja. Przyjaźnię się z duszaniecką księżniczką. I jedynie z jej ojcem Cziradem nigdy się nie lubił.

– To nie dziwne mi – bąknęła wiedźma.

– Teraz służę Strzedziwojowi w tajnych misjach przeciw wilkołakom – mówił dalej Dioris. – Mało kto wie, czym się naprawdę zajmuję.

Tymczasem Wilko z mozołem uniósł drugi z mieczy, większy, potężny.

– A to? – spytał.

Ostrze błysnęło srebrzyście.

– To Lykan – imię miecza zabrzmiało dosadnie. – Mam ten miecz od króla Strzedziwoja – mówił Dioris. – Jest posrebrzany. To broń na wilkołaki. Nie wiem, czyście słyszeli, ale król Lubomii to obecnie w świecie chyba jedyny władca, który... wierzy w wilkołaki.

Wilko poddał się w dzierżeniu miecza. Aż odsapnął.

– Wiele tych stworów zabiłem z jego zlecenia – zakończył opowieść Dioris. – A teraz najął mnie do najtrudniejszej z bestii, wedle króla: do jego własnej żony.

Olchę przeszły ciarki.

Tak poopowiadali jeszcze, przeczyścili miecze. Potem zjedli wieczorną strawę, zaparzyli ziół. I czekali północy.

– Lipka z miodem, buzi dać – pochwalił lubomijski śledczy napój przygotowany osobiście przez wiedźmę. – Za taki napitek to i ożenić

bym się mógł, pani. Męża nie szukasz? Bo ja żony tak. Prawie by nam po drodze było razem!

– He, he – cieszyła się niemało. – Żony mu się zachciewa, widzieli go.

– Przymawiam się do ciebie, pani. – Strzelił oczyskami.

– A słyszę, słyszę. He, he, ladaco ty. Pod rękę by nam było, a i owszem.

Wilko przysłuchiwał się głupawościom z boku, wreszcie ucinając je w naburmuszeniu:

– Do pani cholewki próżno smolisz, Dioris, ledwoś drugi w kolejce.

I tak wszyscy parsknęli śmiechem, omal utopka nie zbudziwszy z wiekowego snu.

Tymczasem wieczór przemienił się w noc, a wesołe gadki w senne milczenie. Co raz to ktoś zdrzemnął się, innemu głowa poleciała smętnie. Wzdychali, ziewali, zrazu zasłuchani tępo w chwierutanie bujanego fotela Olchy. W pewnym momencie ciszę miarowego huśtania wieźmowego kolebadelka zakłócił jej głos:

– W osadzie jakby mniej gwarno.

– Widno pokładły się pijane – orzekł Wilko. – Ktoś tam porodził syna. Radowali się, ani na księżyc nikt nie patrzył.

– Dobrze, pijane łatwiejsze do uśpienia – westchnęła. – Teraz ludziska mało co baczą na pełnię.

– Pijani łatwiejsi i do podburzenia – spostrzegł Dioris z legowiska obok utopca.

– Te jednakowoż, co tu podburzyć by mogli, najwięcej pijane. – Rozciągnęła bezzębne usta w radosnym uśmiechu.

I kolebała się w najlepsze, zaś jej wesołość tyle miała pocziwej szpetoty, że aż obaj wilkarzy wzdychali i wymieniali rozbawione spojrzenia.

– Urocze – bąknął tylko Dioris do Wilka, gdy stara rozmarzyła się w wymyślaniu poematów na temat cudowności mebelka na płozach z kół wozu.

– Kolebadełko ty moje – zachwycała się w bujaniu – co jesteś, jak matczyne łono, jak kołyska najprzedniejsza dla małej królowny!

– Dla ślicznej królowny, pani! – podlizał się jawnie Dioris.

Zarechotała wniebowzięta. I jęła się bujać zapamiętałej.

Wtem jednak uwagę Diorisa przykuło coś dziwnego w obliczu utopca.

– Pani? – zaalarmował wiedźmę odruchowo, nie spuszczając z chłopaka wzroku.

Stara i Wilko wnet rzucili się ku niemu i ku Sol. Nie musiała im tłumaczyć – wszyscy widzieli, że po delikatnych policzkach nieprzytomnego płyną łzy.

– Ooo – zaciekawiła się Olcha nie mało. Wtarabaniła się na posłanie chłopaka i obserwowała jego mokre powieki.

– Płacz – orzekł Dioris, a wiedźma nie zaprzeczyła.

– Łzy utopka – podsumował Wilko.

– Podnieście mi go nieco – poprosiła stara, po czym mężczyźni wykonali polecenie. Sol znalazł się w jej ramionach, półleżący, pół o nią oparty. – Moja dziecinka. Czemu płaczesz?

Czułe objęcia staruchy urzekły obu patrzących: i Wilka, i lubomijskiego śledczego. Nawet nie spostrzegli, kiedy pieśń jęła koić ich zmysły, mroczyć.

To Olcha śpiewała.

Nie płacz, nie płacz,

czekaj mamy.

Mama śpi pod skałą,

obudzi się z gwiazdą.

Wyglądaj Północy.

– Czemu płaczesz? – Wiedźma pogładziła śniadą skroń utopka. Na ustach poczuła słoń, mokrą kroplę. Zamknęła oczy.

Kap...

Łza ledwo musnęła obojczyk staruchy, a zabrzmiała, jak bęben.

Kap.

Kolejna kropelka zadudniła w piersi wiedźmy. Poruszyła serce.

Kap, kap.

– Moja dziecinka... – Olcha oplotła ramionami czarnowłosą głowę Sol. Poglaskała loki.

Zamknęła oczy.

Kap.

Łza utopka tym razem spadła wprost na serce starej. Wiedźma usłyszała tylko zaniepokojony głos Wilka:

– Pani!

Ostatkiem przytomności dostrzegła gest Diorisa, powstrzymujący jakiegokolwiek działanie jej młodego wychowanka, a potem cisza oddzieliła ją od ich żywego świata.

Z odmętów wyłoniło się miasto utopców. Zamek i aleja strzeżona przez kamienne wilki. Bębny dudniły coraz wyraźniej. Niczym serce. Jak serce coraz bardziej wystraszone, coraz szybciej. Głośniejsze. Wibracje przeraziły Olchę.

W panice dostrzegła podnoszone kraty zamkowej bramy i to, co z niej wypadło. Bestię.

Serce przyspieszyło do granic obłądzenia, potem śmierci.

– Pani! – Głos jak spod wody. – Pani, ocknij się!

– Serce utopca bije! – Głos rycerza poznała bezbłędnie. Świadomość wracała.

Bum, bum... Bębny odchodziły echem, nikły.

Kap, kap... Kap, kap.

Znów mokre kropelki też dobijały się do jej serca.

Wiedźma otworzyła ślepią. Wróciła do żywych, a oni odetchnęli z ulgą.

– Pani, jesteś? – Wilko rzucił się jej na szyję.

Dioris złapał wejrzenie Olchy znad nieprzytomnego Sol.

– Przestało bić – rycerz oznajmił cicho, zbadawszy puls utopka. Opadł z nadziei nieco. – Biło przez chwilę, pani. Zdało mi się, że wraca do życia.

– Może i wraca – orzekła. – Na pewno wciąż śni. I gdziekolwiek jest... A nie jest w swoim cielem... Cierpi.

– Widziałaś coś, pani? – spytał Dioris.

– Tak. Widziałam bestię – podjęła w uwadze, ani na chwilę nie rozproszona widzeniem. – Jakby wilkołak, lecz... dziwny, wielki, bardziej zwierzęcy, niż te, którym widziała. I połączony z nim... z Sol. Krwią. – Szukała odpowiedzi w widziadle, które wciąż pulsowało w jej żyłach.

Nie była pewna. Przerzuciła już przytomny wzrok na obu towarzyszy.

– Jakby blisko jestem prawdy o nim – myślała głośno. – A jednocześnie zupełnie daleko.

Długo tkwili w milczeniu tego wieczora.

Olcha kolebała się mechanicznie, bezwiednie. Zapamiętała.

Aż zasnęła.

– Nie budź babki – szepnął do Wilka Dioris. – Niechże se babka pośpi. Słaba jeszcze po chorobie.

Młody przystał na to i dołączył do rycerza, włączając w wymoszczone skórą postanie. Obaj zapatrzili się w Sol.

– Zmienia się? Widzisz co? – spytał Wilko. – Budzi się?

Dioris zaprzeczył. I dodał:

– Jeszcze wczas. Do północy daleko.

Westchnęli i jęli czuwać.

– Zdrzemnij się – polecił Dioris. – Tyleś się nasiedział nad nami, kiedyśmy gorączkowali. Moja kolej. Zbudzę cię, jakby co.

Młody opierał się. Ale uległ. Sen przyszedł, ledwo zamknął oczy.

Kolebadełko Olchy zatrzymało się, gdy staruszka opadła w siedzisku bezwładnie. Równy, głęboki oddech wycieńczonego Wilka i ciche chrapanie staruszki z wolna usypiały i Diorisa.

Wilkarski rycerz ocknął się w nagłym lęku i omal nie wrzasnął, gdy pojął, że stracił czujność w taką noc! W następne uderzenie serca raptownie nabrał tchu i nie krzyknął tylko dlatego, że widok dosłownie go zmroził.

Rozbawił tym Sol. Niebieskooki chłopak pojął w spontanicznym, lekkim uśmiechu.

– Ciii – szepnął. – Niech śpią. Tacy zmęczeni.

Dioris bardzo chciał zwolnić rozszalały oddech, ale szło to opornie. Ciało dobrą chwilę oswajało się z widokiem ożywionego utopca obok siebie, z jego swobodnym uśmiechem i wręcz omamiającą życzliwością w oczach. Przyjął odgarnięcie włosów z czoła i nieśmiałe muśnięcie skroni. Sol spoglądał nań, jakby Dioris był najciekawszą, najbardziej niesamowitą istotą na ziemi.

– Lubię twoje ciepło – wyznał chłopak z wciąż tym samym zachwytem. – Jesteś taki... żywy. Tyle lat nie dotykałem nikogo żywego.

Nieco zbity z tropu mężczyzna odwzajemnił życzliwość w spojrzeniu, zaśmiał się nerwowo, acz pobłażliwie. Pomyślał, że w świecie niechybnie taki obrazek ich obu razem wzięto by za męzołożnictwo, czy inny nadalijski niewstyd, ale najwyraźniej utopiec nie miał takiej świadomości.

– I tyś żywy – rzucił wciąż zakłopotany dotykem Dioris.

– Tak! – Młodzieniec ochoczo namacał swoje serce, potem tętnicę na szyi pod żuchwą. – Krew pulsuje we mnie! Chcesz poczuć?

– Nie, nie... – Dioris wprzód niemal wykrzyknął, unikając wyciągniętej dłoni chłopaka. Ale widząc jego drgnienie zawodu, złamał się. Pozwolił powiesić swoje palce do szyi utopca i wyczuć jego tętno. Uśmiechnął się w rozbawieniu, widząc, jak wiele radości sprawił tym biednej istocie. – Żywyś niezaprzeczalnie – orzekł nie bez wesołości.

– Taak... Żywym...

Sol był bardzo młody, przynajmniej tak wyglądał. Czarne, wijące się długie włosy opływały ładną twarz. Bliskość wciąż wprawiała Diorisa w lekkie zakłopotanie, ale zdołał jako tako wyzbyć się skojarzeń

i trwać w niewinnym patrzeniu na świat dziwnego stworzenia. Zwłaszcza, że myśli szybko wróciły go poważniejszych rozważań – do księżycowej pełni.

– Czujesz, daleko do północy? – Powrócił do groźnej rzeczywistości.

– Do północy? – W oczach Sol płonąła prawdziwa radość. – Jest prawie ranek.

– Co?!... – Dioris omal nie zerwał się z pieleszy. Opadł na posłanie złapany za dłoń. Twarz Sol promieniała. – To znaczy, że... – Mężczyzna starał się nadążyć. – Przespałem całą noc?! A ty...

– Nie zmieniłem się. Nie przyszło. Nie stało się.

– Nie?

Blask w oczach Sol był tak urzekający i szczery, że Dioris mógł uczynić tylko jedno – ucieszyć się z chłopakiem.

– Ale jak to? – mamrotał, choć przecież żaden nie mógł znać odpowiedzi.

– Nie wiem – szeptał Sol i dosłownie płonął ze szczęścia. – A czy ja... – łypnął w bok – mogę to dojeść?

Obfite brwi zbiegły się nad zdumionymi oczami rycerza. Powiódł ów wzrokiem ku drewnianemu talerzowi z niedojedzoną pajdą chleba posmarowanego smalcem, na którą to ochocił się jego dziwny towarzysz.

– Ze skwarkami... – Chłopak nieświadomie aż się oblizał.

– Jedz – Dioris westchnął – na zdrowie.

Wkrótce więc z rozczuleniem w sercu patrzył, jak młody pochłania podeschniętą kromę, jakby była jadłem bogów. Wreszcie sam błysnął zębami w nietłumionej wesołości i zaśmiał się cicho. Nie pojmował, co się wyprawiało w tej dolinie, ale pogodził się z tym.

Długo później siedzieli tak na wciąż oniemiaли. To śmiali się, to zastygali w zadziwieniu. Do upadu powtarzali „jak to możliwe?” i „niesamowite”.

Ale raptem Dioris nieco stężał.

– Myślisz, że – podjął niezgrabnie – że o świcie znów... odbierze ci życie? Że dzień znów pozbawi cię go?

Ale Sol nie wiedział. Przygaśł nieco.

– Nie wiem, co przyniesie dzień. Ale dobrze było patrzeć, jak śpisz – mówił z cicha. – I trwać w moim ciele, nie w bestii. Choć jedną noc. Nawet, jeśli ostatnią.

Dioris skwaśniał. Nie przyjmował możliwości śmierci swojego utopca. Skupił się na czymś innym, starał się rozumieć, nadążyć choć trochę, wyobrazić sobie, co przeszedł Sol przez te wszystkie wieki ni to życia, ni to śmierci.

Nie wiedzieli czemu, ale nie chcieli jeszcze budzić pozostałych. Usiedli wygodniej, a Sol nie przestawał jawnie napawać się widokiem twarzy Diorisa przy swojej. Rycerz odpuścił sobie porównania do mężożniczych scen napierających do umysłu ze świata. Byli sami, bez spojrzeń i osądów innych, i z jakiegoś powodu rycerz pozwolił utopcowi trzymać się za rękę. Tak po prostu. W jego świecie teraz trzymanie za rękę było trzymaniem za rękę, bez ukrytych sensów.

– Pamiętasz coś o sobie? – spytał chłopaka cicho. – Kim żeś jest?

Sol zastygł. Przeżalenie przebijało się na jego twarz. Zastąpiła je lekka panika i ostatecznie smutek.

– Nie wiem... – odkrył z jękiem. – Niczego nie pamiętam...!

– Spokojnie. – Dioris przewidział to i szybko przytulił go krzepiąco. – Przypomnisz sobie. Czasu ci trzeba. Już, już... Nie bój się.

Napięcie znów opuściło Sol. Wróciła błogość ciepłego postania i ramion życzliwego towarzysza. Nie opowiadali więc żadnych historii, z żadnych czasów i z żadnych miejsc. Po prostu trwali razem.

W izbie, mimo że na palenisku zgasto, nie było zimno, a wciąż przytulnie. I dość jasno. A to coraz bardziej zastanawiało Diorisa. Wsluchiwał się w odgłosy osady i z każdą chwilą pewniejszy odkrywał, że na zewnątrz słyszy powiewy halnego. Były silne, a tak o tej porze roku brzmiał tylko ten rodzaj wiatru. Pierwsze uderzenia o dach były majestatyczne i przepowiadające, a potem przychodził w całość

okazałości – ciepły, ale i niezwykle silny. I zawsze, zawsze oznaczał nadejście odwilży.

– Sol – Dioris dobył szeptu, rozglądając się w zdumieniu – naprawdę jest już świt. Świt, a nawet ranek w pełnej krasie!

Niebieskooki chłopak był tak samo przejęty.

– Jest dzień, Sol, a ty... A...

– A ja nie przestałem żyć...

Młody był tak oszołomiony i szczęśliwy, że rycerzowi aż łezka zakręciła się w oku.

– Oby tak zostało, Sol. Oby.

Jak zapragnęli tak też się ziściło. Nikt nie wiedział, czemu.

– Zaiste, dziwne. – Stara wiedźma pomrukiwała do siebie raz po raz, bezwiednie kołyszac się w swoim siedzisku.

Cały dzień, odkąd utopiec nie zamknął oczu o świtaniu, zarówno Olcha, jak i obaj wilkarzy, a nawet sam Sol niechcący czekali, że to jednak nastąpi. Ale zeszło do wieczora, a chłopak nadal żył. I wszystkim zapierało dech.

Tymczasem halny rozhulał się w dolinie w najlepsze, a wyżej w górach aż odeń huczało. Czasem przywiał stalowe chmurzyska, z których nawet pokropiło deszczem. Choć wielu odczuwało zmiany aury w postaci wszelakich bólów i bolączek, szło na wiosnę i to wynagradzało wszystkie niedogodności.

– Może wyjdiesz na światło dnia? – Olcha usłyszała, jak Dioris rzekł z cicha do utopka.

Wilko, trzeci z nimi w posłaniu, aż uniósł ochoczo głowę na ten pomysł. Ale Sol zastygł, a potem wyraźnie jakiś lęk wypełnił go na myśl o tym. Pokręcił głową nieznacznie, acz przecząco.

– Boisz się? – Dioris domyślił się z właściwą sobie łagodnością.

Olcha uśmiechnęła się na to. Wilkarski rycerz zdumiewał ją i zachwycał. Był tak inny od mężczyzn, których spotkała w jakże długim życiu. Sol patrzył weń jak w obrazek, jak na cud jakiś i niejeden ofuknął by go za to. Ale Dioris, jak wcześniej wobec cięłego Igniecia

doń Wilka, tak i wobec utopca postępował nader wyrozumiale. W przytulnym pośłaniu wymoszczonym skórami i w ramionach rycerza wrócony do życia utopek dosłownie rozpływał się w rozkoszy. Na to Wilko, niczego sobie z tego nie robiąc, dołączył do nich. I tak wylegiwali się cały dzień we trzech.

– Właściwie to nie ma słońca – stwierdził leniwie Wilko, nie namawiając Sol do wyściubienia nosa z ciepłego legowiska. – Wieje, że czapy z głów zrywa zresztą. – Ziewnął. – Może jutro się wypogodzi, to pójdziem.

Dioris przyjął na powrót głowę Sol na pierś i pogładził jego włosy. Z drugiej strony miał Wilka. Wymienił wesołe spojrzenie znad chłopaków z wiedźmą.

– Ale ci się braciszkanie trafili – zarechotała.

– Owszem, trafili się. – Powrócił do bawienia się czarnymi lokami obu młodzików. Sytuacja śmieszyła go nieco, ale też odprężała.

Olcha zmrużyła ślepią w dobrodusznym uśmiechu i pokiwała głową.

– Naści, dzieci – szepnęła. – Leżcie sobie, niczym małe borsuczki.

– Taak – Dioris ziewnął, rad na przytulne leża. – Niczym borsuczki z Wilczej Doliny.

W noc wchodzili podszyci jeszcze strachem o Sol, jakby w każdej chwili coś złego miało upomnieć się o chłopaka i znów odebrać go życiu.

Ale noc minęła, a utopiec wciąż cieszył się zwyczajnością, wcale tak właściwie nie przypominając już stworzenia z odmętów jeziora.

O poranku Wiedźma podrapała się po łepetynie.

– Czupirado mam na głowie takie, ech. Chłopcy, jakże was proszę, wody byście наносili. Cuchnę, jak stara baba.

Wilko i Dioris łypnęli po sobie.

– Już lecim, pani! – Skinęli zgodnie i wzięli się za kożuchy.

Utopiec odruchowo skoczył za Diorisem jak wystraszone dziecko, kiedy go matka zostawia.

– Już, już. – Rycerz uspokoił chłopaka, poklepał po policzku. – Wnet wrócę.

Ani nie ośmiał się z dziwaka, ani nie zlekceważył błahego lęku. Miał w sobie przekonujący spokój, któremu uległo dzikawe stworzenie.

– Z panią bezpiecznyś – zapewnił Dioris na odchodnym, zarzuciwszy kozuch na plecy i znikł za wrotami chaty.

Olcha zamyśliła się, podumała chwilę. Wreszcie wróciła do wesołości, rozciągając twarz w uśmiechu prosto do wystraszonego stworzenia.

– Mam ci ja smarowidło – zaczęła jakby w tajemnicy i jęła grzebać po kłopotach. – Smarowidło, co znać się winno: smarowidło bogów! O! – Wyjęła mały garnek z wiekiem. A napawała się widokiem przedmiotu, niczym skarbem.

Utopiec przekrzywił głowę uważnie. Odwzajemnił leciutko uśmiech. Na jego delikatnej twarzy wypadł dość biednie.

– Nie boj się, chodź, powąchaj – zachęciła stara, zaciągając się wonią mazi. A gdy młodzik zbliżył się i podsunął nos do wieka garnka, wyjaśniła: – To smarowidło do...

– Włosów – znienacka wszedł jej w słowo, niechcący, spontanicznie. I nieco sam tym wystraszony, dokończył z drżeniem: – To różanecznik... Do mycia włosów... i ciała. Do kąpieli – zakończył bardzo cichutko.

Szybko opanowała potworne zdumienie i postarała się o łagodność.

– Tak, dziecinko – potwierdziła przyjaźnie. – To różanecznik. Stara receptura. Nikogom nie nauczyła...W moich czasach robiono to cudo w Łyścu. Ale... – bruzda zmarszczek zaciągnęła się na czole staruchy – zdaje mi się, że nie tylko w moich czasach...

Pocziwe oczy młodzika śledziły Olchę ze zrozumieniem.

– W moich czasach też – przemówił Sol.

Serce zmiękło ostatecznie w kobiecie wobec jego losu.

– Pamiętasz co? – spytała Olcha ze współczuciem. – Przypomniałeś sobie?

Zasmucił się, spuścił głowę, szukał usilnie jakiegokolwiek wspomnienia, obrazu, myśli.

– Wiesz – wyszła mu naprzeciw – mnie niegdyś, w naszych czasach, przywieziono tu w góry na ofiarę dla jakiejs potwory, co to ją trzymali w kurhanie. Jakby wilkołaka. Samicę.

Skinął, ale cierpienie na twarzy i wielkie skupienie nie napawało nadzieją na jego szybkie przypomnienie sobie czegokolwiek.

– Mówili – dodała – że w górach gdzieś tu siedział pan o imieniu Wilkomir.

– Wilkomir... – Tu utopiec wyraźnie zastygł. – Znam to imię... Całe jezioro szumi je...

Niczego więcej jednak powiedzieć nie umiał.

Poranek w osadzie był senny i mglisty. Zmęczeni długo już trwającą zimą mieszkańcy dosłownie snuli się między obejściami i obowiązkami. Pozdrawiali mijanych Wilka i lubmijskiego śledczego, przywykli już do ich obecności w górach. Mężczyźni doszli studni i czerpali wodę w wiadra, gdy wtem obaj drgnęli czujniej. Jak na komendę powzięli ciekawiąco ich woń w nozdrza.

– Samica. – Wilkarzy wymienili znaczące spojrzenia.

Wtedy Wilko dostrzegł kogoś w niewielkim tłumie, po czym na jeden jego znak obaj ruszyli pozornie bez pośpiechu – dokładnie ku furcie wychodzącej w jezioro.

Rozciągające się od tej strony wałów osady wody wciąż pokrywał lód. We mgle wyglądało, jakby zima i sinawe pustkowienie nie zamierzały jeszcze odpuścić. Tego ponurego ranka słońce było zasłane jednolitą ni to chmurą, ni to mgłą i nie zapowiadało się na przejaśnienie. Zasnęła oparów, biała niczym mleko gęstniała przy tafli jeziora i wilkarzy przyspieszyli kroku, nie chcąc stracić z oczu śledzonej postaci.

– To ta wilkarka? Bieclawa? – pytał z cicha Dioris, gdy z Wilkiem przystanęli wreszcie w ukryciu zakrętu palisady. Nie chcieli, by kobieta spostrzegła ich.

– Tak – szepnął chłopak. – Nikt we wsi nie wie o jej rasie. Tylko Krzesąd. To on przygarnął ją, gdy była dziewczynką. Ale tajemnicę jej wilkarstwa chronił.

– Wygląda czegoś w wodzie – spostrzegł Dioris, a i Wilko skinął.

Kobieta sprawiała wrażenie, jakby miała pójść wnet lodem, jakby coś wołało ją z odmętów.

– Obłąkana jest – wyjaśnił i to Wilko. – Słyszysz utopki. Krzesąd mówił mi. Mamią ją.

– Cóż. Może nie takie to obłąkanie. Wszak i my z utopkiem gadamy ostatnio.

Wilko aż obejrzał się na towarzysza. Zmitygował się nieco, zafrasował.

– No – przytaknął wreszcie. I wrócił do obserwacji.

– Stara? A woń taka wyraźna... wiesz.

– Chućliwa.

Dioris musiał się zgodzić z tym określeniem. Stłumił rozbawienie.

– Samica to, ale nie tylko wilkarska jakby... – Rycerz starał się rozoznać w zapachu, który czuł.

– Też tak... coś mi tu dziwnością zalatuje.

Pokiwali głowami.

– Ciii. – Dioris zastygł w baczniejszym nasłuchiowaniu. – Gada coś w jezioro.

– „Moje dziecko. Zabrali mi moje dziecko”. Zawsze to samo mamrocze. Ponoć przed laty straciła noworodka właśnie. I stąd tak słabuje na umyśle.

Zmarszczyli brwi, gdy z nagłą rzuciła się po lodzie.

– Czekaj – przykazał Diorisowi Wilko i skoczył w tamtą stronę. – Pani! Pani Bieclawo! Co czynisz, pani?! Łódź słaby!

Odwróciła się, warknęła ohydnie i zjeżyła się wilczo.

– Tyś nie mój... – wysyczała wrogo. – Nie moje dziecko! Precz!

W jednej chwili odbiła ku brzegowi na powrót i zniknęła za zakrętem wałów.

Kiedy Dioris dobiegł Wilka, uchodziła już w zimową mgłę. Obaj wilkarzy patrzyli za nią chwilę, rozwierali nozdrza ciekawie.

– Co rzekła? – Dioris ocknął się, widząc zaskoczoną minę druha.

– Yyy. Żem nie jej dziecko.

Było w tym coś dziwnego, choć pozornie nie powinno. Żaden nie pojmował, dlaczego coś tak bardzo im w tym wszystkim nie pasowało.

– Cóż... – Chłopak potarł czoło. – Wracajmy. Pani czupiradło ma na głowie... Kąpiel obiecaliśmy.

Nad jeziorem zrobiło się chicho. Miestwin odetchnął. Wydyszane kłęby pary poszły w zimowe powietrze, splotły się z mleczną mgłą.

Chłopakowi ciężko było na sercu. I jego wołała lodowa połać jeziora. Tęsknił za jej głębią, nie rozumiejąc tego. Może nawet zimą, gdy mróz chwycił podwodne królestwo w okowy, czucie nasilało się? Coś w każdym razie rozdzierało w środku, w sercu.

Na pewno po kolejnej awanturze w domu, Miestwin jako sierota tym bardziej nie umiał w sobie znaleźć jakiegokolwiek więzi z żywymi w osadzie. Matka nie żyła, ojca nie znał. Dziadek Lech umierał i coraz mniej poznawał wnuczka, zaś wuj Lestko...

Łza zakręciła się w oku Miestwina.

Jedynie babcia Stojśława rozumiała go. Tylko że nawet ona nie potrafiła już bronić go przed Lestkiem. Kobiety były słabe. Młode jak ciocia Sławka, bardzo młode jak kuzynka Dziewanna, czy stare jak babcia. Wszystkie. A najśłabsza była mama. Nie znał jej, ale czuł żal. Czasem myślał, że wuj Lestko miał rację, gdy pomstował po zmarłej. Nie dość, że dała się zbrzuchacić jakiemuś obcemu, to jeszcze nie przeżyła nawet dnia po porodzie! Zostawiła Miestka samego na tym podłym świecie. Na pastwę wsi.

Chłopak wejrzał w dal, po tafli zamarzniętej wody. Ruszył po łódzie, bo topiel znów zawołała go.

Nikt nie zatęskni, pomyślał. Ale jęknął w trwodze, gdy lód zgrzytnął i pękł mu pod nogą. Cofnął się pospiesznie. Potem padł na czworaki i ostrożnie sunął w tył, skąd wyszedł.

Wtedy, w lodowej powierzchni odsłoniętej ze śniegu, tuż przed twarzą Miestka, niczym w lustrze odbiło się czyjeś oblicze.

Miestko zastygł. Wzrok oczu, dokładnie tak dziwnych jak jego, omamił go. Chłopak nie mógł się poruszyć, jakby sam obrósł lodem.

Tymczasem obca twarz zbliżała się pod powierzchnię. Miestko chwilę patrzył, zaczarowany. Dotknął dłonią szyby lodu, łącząc swoją z dłonią widziadła. Wyszczrzyła zęby... Nie, zębiska, w potwornym uśmiechu!

Miestko zerwał się. Wrzasnął przeraźliwie. Chciał uciec, ale nogi rozjechały się na lodowisku. Upadł boleśnie, wprost w topniejącą szybę, otwierającą lodowy przeręb.

Smarowidło różane okazało się bardzo... wonne. Pani zachwycała się, wilkarzy nieco prychali, utopiec zaś... jakby bardziej ożył. Woń mazi wyraźnie wracała mu pamięć. Zaciągał się nią. Chętnie też nałożył jej na palce i...

– Chcesz mi umyć głowę? – Stara wyczuła niespodziewaną dla samego chłopaka intencję. – A dawaj, a chętnie.

Błękitne oczy Sol błysnęły raźniej, jakby czynność wracała go w dawne życie. Chyba każde, z siedzących w wielkiej balii z gorącą wodą, miało taką myśl w głowie. Dioris i Wilko bezwiednie wymienili spojrzenia.

Tymczasem młodzik usiadł obok wiedźmy i wprawnie nałożył smarowidło na rzadkie włosy kobiety. I ku osłupieniu towarzyszy jął wmasowywać różanecznik w skórę jej głowy.

– Ooo... O. Oooo! – Stara od pierwszej chwili rozlubowała się w masażu. – Dziecko kochane, toż ty masz dłonie od samych bogów nadane! I dla bogów chyba przeznaczone! Toż to rozkosz dla mej łepetyny, lepsza niżli... Stare dzieje.

Wilko i Dioris znów zgodnie wymienili pełne niedowierzania spojrzenia.

Ochy i achy więdźmy dłuęo jeszcze wypełniały izbę, a żadne z kąpiących się nie mogło widzieć min przechodniów, aż przystających między chatami, na dobywające się z wnętrza jęki. I w popłochu uciekających dalej długimi, ścielonymi bierwionami uliczkami.

– Toż tyś chyba bogom służył – stwierdziła wreszcie do Sol stara, rozkoszując się jego opieką. I jęła myśleć głośno do pozostałych towarzyszy kąpeli: – Słusznie Krzesąd wspomniał o Bramie Gór i świętyni. Teraz pewnam, że nasz utopek o tankryckim imieniu Sol... jest nikim innym, jak... jednym ze świętynnych dzieci.

– A i jego siostra – dorzucił Dioris.

– Ummm. – Stara zamruczała przeciąęle. – Dziecko, które nie znało zła... Tak o nich mówiono w moich czasach. Chowano je w odosobnieniu, bez skażenia tego świata.

– Da się tak? – powątpiewał lubomijski śledczy.

– No, tak twierdzono – odparła bez przekonania.

Spojrzeni na delikatnego, przesiąkniętego wręcz niemęską łagodnością Sol, który właśnie czule spłukał włosy więdźmy. A patrzył na nią, jakby była najcudniejszą dziewczą.

– Dziękuję, dziecinko. – Olcha obdarzyła go bezzębnym uśmiechem. – Kochanyś. Dawnom się nie czuła tak zaopiekowana. Ciałem. Polecam wam, chłopcy! – Nieznacznie wypchnęła zamroczonego tym wszystkim Wilka.

– Nie, nie – ten opamiętał się. – Sam sobie nałożę i... tego... umyję. Sol zwrócił oblicze zatem ku Diorisowi, a rycerz aż przełknął ślinę.

– No, nie bądź płochy, panie śledczy. – Olcha machnęła ręką.

Drgnienie obawy, czy mężczyzna nie odrzuci propozycji wypłynęło cieniem smutku na delikatną twarz Sol.

– Jeśli chcesz – Dioris zreflektował się, siadając tak, by chłopak mógł zmieścić się za nim i zająć jego głowę.

Wkrótce to nastąpiło. Sol polał włosy mężczyzny i już na samo to ciarki przeszły Diorisa, a nawet obserwującego zajście Wilka. Potem dłonie Sol nabrały różanecznika i dotknęły głowy rycerza.

– O, chłodne to smarowidło. – Dioris spał się w pierwszej chwili. Zaraz jednak odetchnął i zapanował nad ciarkami. – Ale rzeczywiście przyjemnie – musiał przyznać zaraz potem. – Czuły chłopak – pochwalił Sol. Złapał nawet jego wdzięczne spojrzenie.

– Jesteś taki ładny – oznajmił Sol, a wszyscy aż skrzywili się w powstrzymywanym parsknięciu śmiechem.

– Cóż – westchnął w pokorze Dioris – muszę nauczyć cię, Sol, że to nasza tajemnica.

– Źeś ładny? – Utopek jakby mało pojmował.

– Ummm.

– To inni nie widzą? – Na kolejne pytanie Sol Wilko już zachichotał.

I nie dokończyli wątku, bo do izby po krótkim pukaniu wsunął się Krzesąd. Na widok młodzieńca za plecami rycerza, myjącego temu nie tylko głowę, ale i plecy, przybyły najpierw zdumiał się, potem wyraźnie skwaśniał. Diorisowi aż zrobiło się dziwnie nieprzyjemnie. Nawet Sol się spłoszył. Wzrok Krzesąda najbardziej wycelowany był właśnie w niego.

– Chodź, chodź – zawołała przybyłego Olcha. – Coś taki osowiały? Mrozi?

Starzec wstąpił w próg, zawarł wrota. Z wolna ruszył ku balii, a teraz od jego złego spojrzenia Dioris miał ciarki. Sol schował się za nim dosłownie. Zdążył splukać włosy rycerza, a ten sam w tym wypadku chętnie wziął go w opiekę wobec wejrzenia Krzesąda.

– Dziękuję – pochwalił znów chłopaka, po czym otoczył ramieniem i pozwolił, by osaczony wzrokiem przybyłego Sol schował twarz przy jego piersi. Odpowiedział butnie na wzrok Krzesąda. Ucałował Sol w czoło. Znów przygarnął opiekuńczo, ochronnie.

Olcha mlasnęła, śledząc to wszystko. Zmarszczyła nos.

– Dobrześ myślał, Krzasąd – przerwała pełną napięcia ciszę. – Wszystko śpiewa o tym, że nasz utopek to świątynne dziecko. Sprzed tysiąca lat.

Krzasąd mruknął coś pod nosem. Niechętnie patrzył na czułości między Sol, a lubomijskim śledczym. Posiedział, posiedział, po czym wstał. Rzucił, że na niego czas i opuścił izbę.

– Chłopaczka nam będzie obziorywał, jakby mu co zrobił – fuknęła pod jego adresem Olcha. – Lepiej niech poszedł.

Spojrzeni po sobie znad wtulonego w Diorisa Sol.

– Biedny jest – wyszeptał rycerz, a wszystkim zrobiło się żal utopca. – Nie pozwolę tak nań patrzeć ludziom, jak ten starzec patrzył.

– Jakby Sol był jakimś gównem u podeszwy – wyrwało się Wilkowi. Przeprosił wzrokiem, że za późno się przyciszył.

Przeżywali to spojrzenie Krzasąda jeszcze dobrą chwilę. Nie mówili już nawet nic. Bolało każdego i raniło, choć byli zaskoczeni, jak dotkliwie.

Na szczęście woda pozostawała gorąca, piana różanecznika pachniała na powierzchni.

– Hmm. – Dioris szukał jakiegoś podsumowania w głowie. Odechnął w rozkoszy kąpieli, ponownie ją zauważając. – Szukałem królowej Przeborki, a znalazłem świątynne dziecko sprzed tysiąca lat?

Pokiwali na to głowami wesoło. Każde zanurzyło się w wodnym cieple.

– Jeśli królowa jest li opętana wilkołactwem – westchnęła Olcha – prędzej, czy później trafi w te góry. Wszak z dawien dawna to siedzi-ba wszelakich bestii. A jeśli ta biedna kobieta prowadzi się z Czciradem, to jużem pewna, że wnet ją ujrzym. Z tym wszetecznikiem. Nie pierwszyna mu tu bywać.

– Prawda to, że dawno temu znali się oni z Krzasądem? – Wilko przypomniał sobie opowieści starca.

– Tak – Olcha skinęła – znają się. Dawno temu obaj przybyli tu dla złota.

- Krzesąd został.
- Nie inaczej. A Czcirad wrócił potem jeszcze dwa razy, może więcej. Nigdy nic dobrego z tego nie wynikło.
- Co go tu tak wabi? Złoto? – spytał Dioris.
Wiedźma dumiała nad tym chwilę.
- Wątpię – odrzekła po zastanowieniu. – Raczej... ta moc, która oplata dolinę korzeniami, niczym grzybnia. Która pije życie tych gór mackami głęboko, głęboko... pod wodą.

Zakochaj się od pierwszej **STRONY!**

Książki lepsze niż kochanek :)

Legimi

Empik

dbforys.pl



ROMANS • KOMEDIA • TAJEMNICE
FANTASY • HATE-LOVE • SENSACJA • SLOW BURN

– Zatem jezioro? – Głośno myślał Dioris. – Jaką kryje tajemnicę? W zapadłej ciszy Sol nagle uniósł głowę znad piersi rycerza. Spojrzał mu w oczy smutno.

– Potwora – wyszeptał w trwodze. – Jezioro kryje potwora.

Ledwo to rzekł, jakby na zawołanie we wrota znów ktoś zaczął stukać, walić nawet. I zaraz potem do izby wpadło kilku chłopca.

– Pani! – wyzijał najstarszy z nich, zięć Radzima. – Wybaczcie najście... Truchło żeśmy znaleźli przy jeziorze. Teść prosi, byście przybyli, pani.

Rozmarudziła się, palnęła ręką w różane bąbelki na powierzchni gorącej wody w balii.

– No, masz ci los! – jęknęła niepocieszona. – Człowiek tu raz na rok siedzi w kąpeli, a truchła jakby w znowie, byle na przekór! Już ci się znowuż komuś musiało zemrzeć! Zawsze nie w porę...

– Dopieroście, pani, ozdrowieli. My pójdziem – zaproponował Dioris, wstając z wody. Opasał się ręcznikiem, jął wycierać.

Wilko pospieszył za nim.

– Skoro tak, czekajcie, pani. – Zięć Radzima szybko poszeptał o czymś z chłopami, po czym zniknęli wraz, jak szybko się zjawili.

I nim Dioris i Wilko czy wiedźma zdążyli się ogarnąć, znów jęli stukać we wrota. A potem wparowali z noszami i ociekającym jeszcze wodą ciałem martwego.

Dioris i Wilko osłupieli. Olcha palnęła się w czoło.

– Nosz, tego jeszcze nie było! – rozgderła się. – Żeby mi z trupem w kąpiel włożyć! Bodajby ich oświeciło wreszcie, bodajby rozumy wróciło! O ile jakiś mieli kiedykolwiek!

Odwrócili spojrzenia, wszak odziewała się. Wiedzieli, że starucha połaja, pogdera, ale koniec końców pomoże.

– Swój, czy obcy? – pytała tymczasem, narzucając odziewek.

– Obcy, pani – chłopcy odpowiadały przytomnie.

– Świeży, czy pogniły?

– Zdaje się, świeży, pani.

– Najdalej z jesieni – dopowiedział rzutko zięć Radzima. – Wszak mrozy mogły zachować.

– Rośnie Radzimowi następca starszyny – podsumowała po nossem, bystrość chłopca chwając.

Ale kiedy stanęła nad truposzem, w jednej chwili umilkła. Zupełnie, jakby ujrzała...

– O bogowie... – wyszeptała i, jak nie ona, zbladła.

Dioris i Wilko stanęli nad trupem obok Olchy. Wymienili spojrzenia.

– O, dobrze, dobrze. – Wiedźma nagle zmieniła ton na niby błahy, kierując słowa ku wieśniakom. – Dajcie mi samej podumać nad nim. A jeno rzeknijcież mi jeszcze, gdzieście go znaleźli?

Mimo wszystko nie ukryła, że głos jej drżał. Zdumiał wszystkich mocno.

– Yyy... – zięć Radzima myślał pospiesznie – niedaleko furty, pani. Jakby go coś wyrzuciło z przerębla. I uciekło na powrót w wodę.

– A skądżeś to pomiarkował? – Łypnęła nań.

– Ano po rozbryzgach wody na łodzie, pani – odparł nie bez dumy.

– Coś żeście tam jeszcze ciekawego widzieli? – Świdrowała ku chłopom kaprawymi ślepiami.

– Ano... pani... że goły. Jakoby utopiec.

Pokiwała głową z uznaniem. Ale odrzekła stanowczo:

– To nie utopiec. Znam ci ja tego... człeka. Dawne dzieje. No, a teraz ostawcież nas dla pomyślenia. Zawołam was, kiedy przyjdzie czas.

Chłopy skłoniły się wiedźmie i zawarły za sobą wrota izby w długiej chacie.

– To wilkar. – Dioris i Wilko byli zgodni. – Jasnowłosa i ze skórą jasną... Pewnie z szarych klanów.

Westchnęła ciężko.

– Tak – potwierdziła. – Z szarych klanów.

– Trzeba dać znać wujowi Ludmarowi.

- Nie – powstrzymała Wilka. – To nie od Ludmara.
- Kto on zatem, pani? – Obaj wilkarzy ciekawili się.

Wszyscy spojrzeli na zwłoki młodego mężczyzny, wilkarskiego, zachowanego, jakby zmarł zeszłej nocy. Miał mokre, jasne włosy i regularne rysy twarzy. Skóra, choć sina, również była niemal biała.

– Poczekajcież, dzieci – Olcha sapnęła, szukając miejsca, by spocząć. – Dajcież ochłonać... Usiadła, gdy szybko podsunęli jej mały zydelek. – Dajcie pomyśleć... Ojej... O, bogowie...

– Wszystko dobrze, pani? – zatroszczył się Wilko.

– Coż... Czy dobrze, nie wiem. – Była niczym struta, jak rzadko kiedy otępiała. – Dajcież pomyśleć, pobyć w tym...

Czekali cierpliwie, popatrując po sobie w złych przeczeniach.

– Znałam ci ja go... – Olcha podjęła wreszcie, zebrawszy się w sobie. Wyraźnie oklapła na wspomnienie. – Znałam... Pobieżnie. Ale go znała... przed tysiącem lat.

– Tysiącem?!

– Taaak. – Pokręciła głową smętnie. – Zwałam go Młody. Choć nie wiem do dziś, jak brzmiało jego prawdziwe imię. Ani nie wiem, skąd znalazł się nagle tej zimy, po tylu setkach lat.

Zza ich pleców wyrzwał tymczasem ich utopek. I na widok zwłok krzyknął w przerażeniu.

– Sol? – Dioris złapał go w uwadze.

– O. Najwyraźniej i on go zna – mruknął Wilko podejrzliwie.

– To Nawoj! – wyszeptał skuty wzrokiem Diorisa Sol. – Zwał się Nawoj. On więzi potwora w jeziorze!



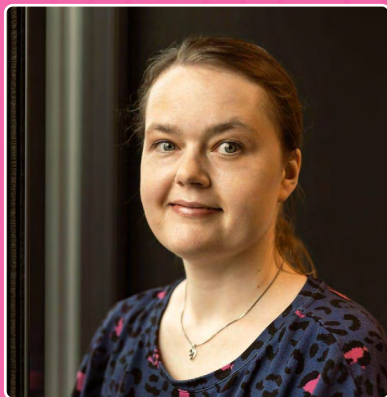
Agata Kasiak – autorka powieści *Baśń o Wilczej Dolinie, Wiedźma z Bronaczowa, Radosna Nowina i Mogiłka*.

Rozmowa

Anna Przybyll

jestem bezskrzydłym ptakiem
zbliżającym do chmur
wszystko albo nic

mieszkam w świecie schyłku
może w ogóle mnie tu nie ma
wiem że miłość osłabła
rozmowa z tobą
jest już tylko zagadką



Anna Przybyll – ur. w 1984 w Warszawie. Wydała dwa tomiki poetyckie: *Obietnice Składane przez Życie* (2020) i *Sekwencja Udanych Gestów* (2024). Publikowała w „Angorze”, „Akancie” i „TarNowej Kulturze”. Na Instagramie pisze wiersze jako @poetka_ania.

Wychowanie czy natura? Recenzja książki Johna Douglasa *Jak powstaje* *morderca*

Izabela Durma

Postawione w tytule pytanie od lat nurtuje badaczy, głównie z zakresu nauk społecznych. Jak to możliwe, że nasz sąsiad, mówiący „dzień dobry” na klatce, może się okazać zbrodniarzem? Czy odpowiedzialność za najbrutalniejsze czyny może być wynikiem ogromnej traumy, przyzwolenia (wojna), czy może jest czymś wrodzonym? W thrillerach często pojawia się teza, że każdy z nas mógłby zabijać, tylko nie odkryliśmy jeszcze, jakie to kuszące.

Podobną refleksję podjął John Douglas w książce *Jak powstaje morderca*. Autor przez lata pracował w FBI jako profiler. Postanowił zatem przeprowadzić szereg rozmów z osadzonymi za ciężkie zbrodnie, by spróbować odkryć, co lub kto stało za tragicznymi czynami, których się dopuścili. W tym miejscu warto podkreślić, że choć autor nie epatuje okrucieństwem w opisach, to nazywa rzeczy po imieniu. Jest to zatem lektura przeznaczona dla starszego czytelnika. Osoby bardzo wrażliwe mogą się prędko odbić od tej pozycji.

Opowieść składa się z czterech części, każda dotyczy innej sprawy. Są one tak obszerne i wciągające, że równie dobrze mogłyby zostać wydane osobno. W każdej autor przedstawia sposób, w jaki udało mu się nawiązać kontakt ze skazanym, co robił, by wzbudzić zaufanie na tyle, aby poznać makabryczne historie z ich perspektywy, a także ukazuje przebieg samego śledztwa i tropów w sprawie przestępstwa. Historie są różnorodne, dotyczą morderstwa z wykorzystaniem dziecka czy rutynowego niemal kolekcjonowania ofiar.

Bardzo podziwiam autora za to, że maksymalnie starał się wtopić w tło i dać głos oprawcom. Z pewnością ma swoje zdanie na temat osadzonych, ale w dialogu obdarza ich szacunkiem i nie ocenia z góry. Trudno mi postawić się na jego miejscu, ponieważ wiele z tych spraw budzi silnie negatywne emocje. Ta technika cierpliwego i uważnego słuchacza sprawia, że rozmówcy się przed nim otwierają. Czasem po to, by

się pochwalić, innym razem, aby spróbować zrzucić z siebie balast, który tak bardzo im ciąży.

Najbardziej poruszająca była dla mnie ostatnia opowieść. Relacja człowieka, który zabijał z zimną krwią i fascynacją. Jedynym, czego tak naprawdę żałował, było ujęcie go przez policję. Chętnie opowiadał o tym, jak i gdzie ukrywał zwłoki, co czuł, kiedy dokonywał zabójstw. Lekkość, z jaką to czyni, równocześnie nie wyróżniając się szczególnie, zmusza do pytania, kogo tak naprawdę mijamy na ulicy. Dla niektórych ludzi zabijanie jest czymś tak naturalnym, jak dla innych chodzenie na zakupy czy do pracy. Sam Douglas zaobserwował, że niektórzy osadzeni gubili się w zeznaniach. Nie chcieli się wybielić. Oni sami zastanawiają się nad tym, z czego to może wynikać i szukają pewnych odpowiedzi, ale zasadniczo czują, że po prostu to lubią.

Nie będzie spoilerem informacja, że ostatecznej odpowiedzi ta książka nie daje. Gdyby tak było, należałoby mocno zreformować światowe sądownictwo. J. Douglas przedstawia historię stłamszonego przez matkę nauczyciela, który wykorzystuje i zabija dziecko wyłącznie po to, by poczuć w końcu kontrolę i władzę. Z kolei inny bohater „wykorzystuje okazję”, by pozbyć się pacjentów, którym ma służyć jako pomoc medyczna. Na niektórych ludziach się mści, innym, jak tłumaczy, chce po prostu pomóc, skracając cierpienie.

Jak powstaje morderca to frapująca lektura, pozostawiająca jednak czytelnika z pewnym niedosytem. Popularność programów z serii *true crime* dowodzi, jak bardzo przerażająca i interesująca może być natura danego człowieka. A może jednak wychowanie? Polecam tę lekturę, a także inne opowieści J. Douglasa.



Izabela Durma – katechетка, fanka piłki nożnej, książek i gier wideo.

Rozmowa Nie-Mistrza ze Śmiercią

Aleksandra Kmiecik-Goleń

– Jesteś?
– Wejdz, nie bronię.
Przeciwnie – czekałam,
Nie na darmo ciebie sama przywołałam.
Usiądź tutaj przy mnie,
Zapał, może wina?
W końcu do toastu nie mała przyczyna.
Za spotkanie, zdrowie
Moje? – Nie, dziękuję,
Już mi go nie trzeba, nic nie potrzebuję.
Tylko tej rozmowy
Z tobą i o tobie
Tego raz ostatni dzisiaj życzę sobie.
Pytać mam? W porządku!
Wiedzieć mi się marzy,
Czemu ciebie człowiek nienawiścią darzy?
Tylu z nich bez skutku walczyło o życie,
A ja tylko ciebie ukochałam skrycie.
– Widzisz, Śmiertelniczko,
Tak to wy już macie,
Że lęk zawsze rodzi to, czego nie znacie.
Ty mój smak już dawno przedwcześnie poznałaś,

Choć nie z zewnątrz, w duszy martwą już się stałaś.

Tak śmiertelny popęd zadziałał na ciebie,
Że gościem zostałam na własnym pogrzebie.

– A jak mi wyjaśnisz to postępowanie,
Że uniknąć ciebie żaden nie jest w stanie?

I że chętniej u tych miewasz odwiedziny,
Którzy nie czekają ostatniej godziny?



redaktor
ewa ✓

#OFERUJĘ

Redakcja, korekta, przystępne ceny,
rabaty za powrót, rozsądne terminy.

Zachowuję styl autora, nie uszczęśliwiam
tekstu na siłę.

Dla bezpieczeństwa własności intelektualnej
autora podpisuję klauzulę poufności.

Udostępniam rekomendacje i portfolio.

ewa-skibinska@wp.pl

– Tak, więc

Wśród tych wszystkich świata zawirować,
Zmiennych zdarzeń, uczuć, życia rozczarowań
Jedną jestem stała i choć człowiek gniewny
Mnie jedynej – właśnie Śmierci – będzie pewny.

– Cóż mam dodać w zakończeniu naszego dialogu,
Czy mi dane już dostąpić twoich świątyń progu?
Nie odejdiesz, jak ci wszyscy, co mnie opuścili?
Przyjmiesz moją przyjaźń teraz, od tej chwili?

– Jak już rzekłam, jestem,
Z tobą pozostanę,
Lecz ty dobrze rozważ takowe żądanie
Bowie, tak już silnie pokochałam ludzi,
Że na wyzwolenie żaden się nie łudzi,
Tak Śmierć uczyniono losu złudną drogą,
Że dla jednych karą,
Dla innych – nagrodą...



Aleksandra Kmiecik-Goleń – Dziewiętnastoletnia pisarka – amatorka. Pisanie daje jej poczucie wolności oraz kontroli nad życiem i emocjami, a najlepszą jego częścią jest dzielenie się twórczością z innymi.

Słowo dali

REDAKTOR NACZELNY

Mateusz R.M. Rogalski – autor powieści fantasy *Obroncy Ahury* i bajki *Zamki i Roboty*. Prezes Polskiego Stowarzyszenia Autorów Niezależnych „Samowydawcy”, redaktor antologii *Własna ścieżka* i *Ślady na śniegu* i *Opowieści przy ognisku*.

ZASTĘPCZYNI REDAKTORA NACZELNEGO

Monika Litwinow – kynoterapeutka, bajkoterapeutka, instruktorka jogi dla dzieci, autorka powieści kryminalnych *Za lasami* i *W gaju*, redaktorka naczelnia czasopisma „Zajęcia z Psem”, właścicielka Centrum Terapii i Edukacji BAJARNIA.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Słowo osobiste
- Gra Słów

Klaudia Sypniewska – projektantka logotypu czasopisma. Mieszka w internecie. Na co dzień tworzy content i działa jako social media manager. Tworzy, kreuje, projektuje. Jej pies Antek ponoć ma z nią za dobrze, ale jak sama mówi, coś począć, skoro kocha psy.

ŁAMANIE

Mateusz Cichosz – magik od składu książek. Pomaga self-publisherom w przygotowaniu ich książek do druku. Poza składem para się również konwersją do wersji elektronicznej (epub/mobi), dzięki czemu książki śmigają m.in. na Legimi czy Empik GO. Od niedawna oferuje również kompleksową obsługę (od redakcji aż po druk) jako *Studio Ale buk!* Znajdziesz go na Instagramie: [@magik.od.skladu.ksiazek](https://www.instagram.com/magik.od.skladu.ksiazek)

D.B. Foryś – z wykształcenia programista i grafik, redaktor po godzinach, pisarz z zamiłowania. Zadebiutowała cyklem powieści *Tessa Brown*.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- projekt okładki.

www.dbforys.pl

REDAKCJA

Janusz Muzyczyszyn – poeta, pisarz i redaktor. Pisze od sześciu lat i przez ten czas wydał trzy tomiki wierszy i trzy powieści obyczajowe, prowadzi również bloga.

W „Daję Słowo” odpowiada za:

- Słownik Autorów
- Słowa dobrane

KOREKTA I REDAKCJA POD NADZOREM JANUSZA MUZYCZYSZYNA

Jagoda Biskont – absolwentka Akademii korekty tekstu. Z wykształcenia archeolog. Wykonuje redakcję i korektę tekstów przeznaczonych do publikacji.

www.kropkajagodabiskont.pl

Katarzyna Mróz-Jaskuła – od wielu lat związana z branżą wydawniczą. Od ponad trzech lat prowadzi własne studio graficzne Wielogłoska. Zajmuje się projektowaniem, składem, korektą i przygotowaniem do druku książek.

www.wielogloska.pl

Alicja Szalska-Radomska – redaktorka, korektorka i recenzentka. Uzależniona od literatury, filmu i gier. Zacztytuje się w bajkach, komediach i fantastyce.

alicja@pracowniamuz.pl

Ewa Hoffmann-Skibińska – redakcja, korekta, copywriting

ewa-skibinska@wp.pl

Natalia Dzik – Nie wyobrażam sobie dnia bez dobrej książki. Uwielbiam czytać kryminały, ale nie pogardzę również dobrym romansem. W wolnym czasie zaplatam sznurki w makramy.

Dołącz do Patronów



PATRONITE